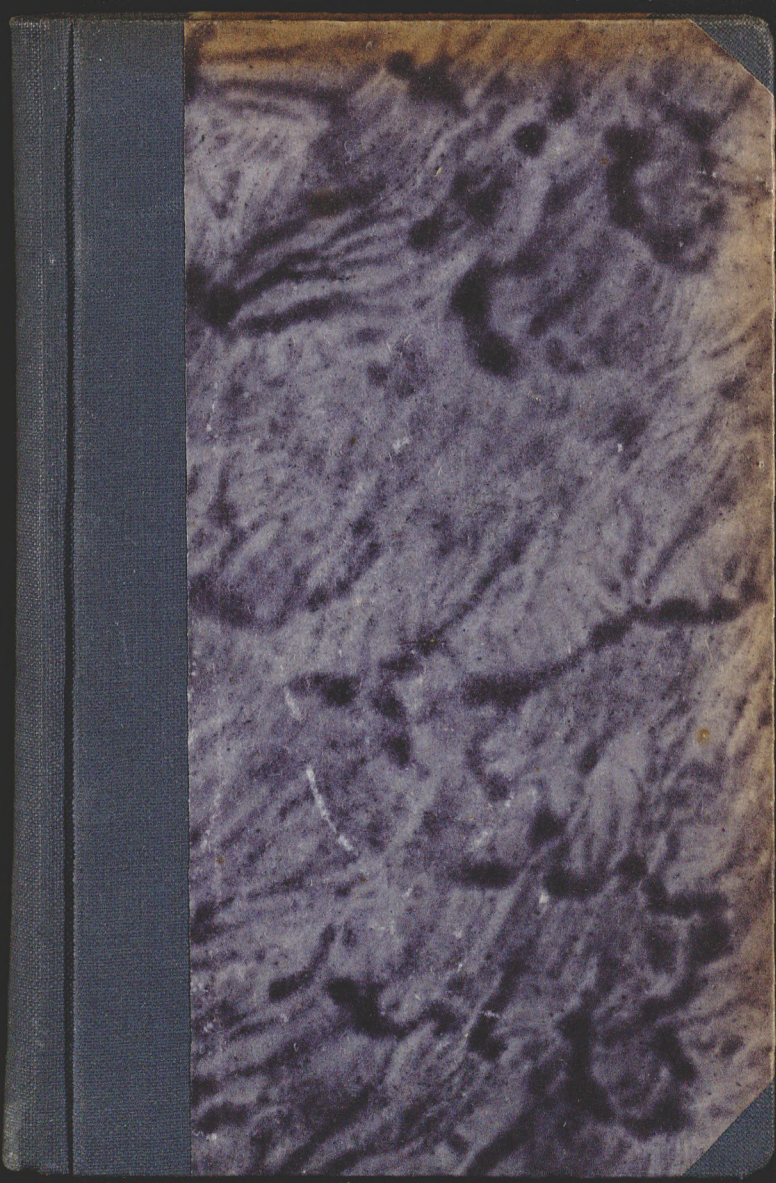
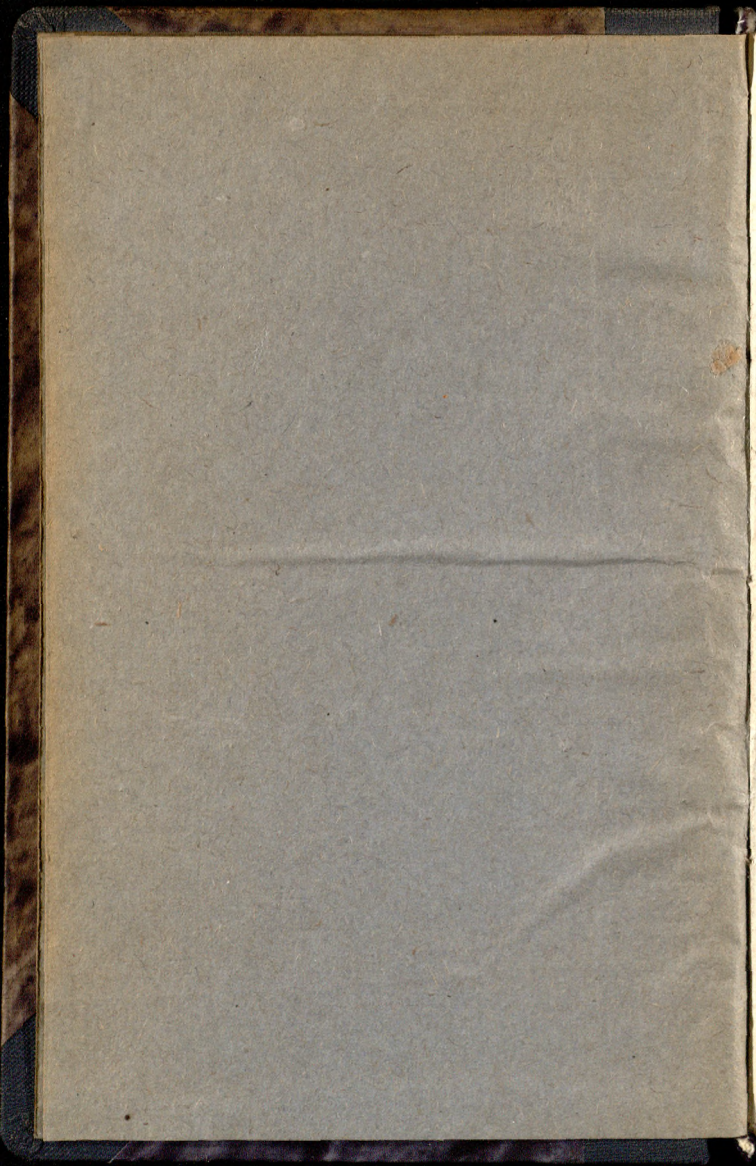






Losy Rejnholda,

czyli

Bóg cudownie się opiekuje tymi,
którzy Go kochają.



powieść dla młodzieży katolickiej z czasów trzydziesto-
letniej wojny,

przełożona przez

Ks. M. Osmanskiego.

ydanie drugie poprawione.

BRODNICA,

drukiem i nakładem C. A. Köhlera.

1861.

[7.5]



ROZDZIAŁ I.

Gość w porze nocnej.

Ozternaście lat przed czasem, w którym na-
za powieść właściwie rozpoczyna się, sie-
ział ksiądz Anzelm Wendt, proboszcz małej
losczyny w bliskości miasta Salcburga leżą-
j, w swoim samotnym pokoiku, zajęty czy-
niem jakiejś książki. — Ciemna noc pokry-
ała ziemię, we wsi i w plebanii wszystko
głębokim śnie było pogrążone; wicher
ko potężny dżdżem i śniegiem miotał na
szystkie strony, trzepał w okna, że aż szy-
dzwoniły, wpadając kominem wył i pisz-
ał po domu niby furze piekielne, a chorą-
ewka na wieży kościoła wichrem szarpana
rzypiała uszy przerażającą piosnkę. Ude-
yła na kościelnym zegarze godzina jede-
ta ks. proboszcz zamknął książkę w której

dotąd z natężoną czytał uwaga, powstał z krzesła i przechodził się po izbie, ażeby siedzeniem strudzone członki rozruchać i pokrzepić. — Widać było z jego twarzy, że duch jego równie jest miotany rozmaitemi smutnemi myślami, jak zewnątrz wichrem powietrze, deszcz i śnieg. — Trzydziestoletnia wojna zaburzyła całe Niemcy; potargała węzły pokoju, ładu i porządku. — Wieści obiegały coraz smutniejsze: pola leżały odłogiem, bydło pozabierane przez żołdaków, a ubogi rolnik dręczony przez nieprzyjaciół równie jak przez przyjaciół, uciekał w bory zostawując dom i ziemię na swywołę napaśtników. — Wioska w której ks. Wendt mieszkał była w prawdzie dotąd jeszcze od trwóg i nieszczęść, jakich doświadczały strony odleglejsze, poniekąd ochroniona; pojedyncze tylko urywki oddziałów wojskowych, istotnie rabusie, znachodzili czasami spokojnych mieszkańców, i wydzielali im majątek. Kto by od tej smutnej doli wolny, wspierał potrzebujących; wszakże w ten sposób nikły z dniem każdym zasoby żywności, niedostatek sił wzmagał, tak że przyszło do tego, iż ni było czem dzielić się z biednymi. Pierwszym

do wspierania biednych był proboszcz, ale i u niego się przebrało uczuł on nędzę panującą tem dotkliwiej, że nie był zdolen odwrócić jej od swęj lubęj trzody, a przyszłość przedstawiała mu się w bardzo smutnych kolorach.

Takiemi to ducha dręczącemi myślami zajęty dobry kapłan sporemi mierzył swą izbę krokami że nie uważał nawet, jak wielkie na dworze zaburzenie panuje. W tém uderzył kominem prąd wiatru, wpadł do izby i wyrwał jedno skrzydło okna, lampa zgasła, ciemności napełniły izbę; przelękły tem zdarzeniem proboszcz, pochwycił co mu pod rękę podpadło, zastawił okno, i właśnie chciał zapalić lampę, gdy usłyszał silne pukanie do bramy podwórza. — Wzdrygnął się — bo któżby o tej porze w taką słotę mógł doń mieć interes? W czasie wojennym nie mu to dobrego nie rokowało. — Pukanie słychać było coraz natarczywsze, a wśród szalejącego wichru dochodziło jego słuchu tętent kopyta końskiego. — Może być, że chory lub wcale umierający, żąda pociechy duchownej, — tu ociągać się nie wypada, bo każdy moment jest drogi; — a jeżeliby zbrodzień

jaki chciał przestąpić moje progi, wszakci jestem w ręku Boga, on mię nie opuści. Takie myśli snuły się po głowie kapłana, gdy zapalał zgasłą lampę, a słysząc coraz cięższe pukanie pochwycił klucze i wyszedł na podwórze, ażeby kołaczącemu otworzyć bramę. Skoro drzwi sieni skrzypiły ustało kołatanie, bo gość był pewnym łaskawego przyjęcia.

Po otworzeniu bramy spostrzegł probosz męża rosnącego, długim i przestronnym płaszczem okrytego, pod którym z szczególniejszą troskliwością tenże piastował dziecię. Przywitawszy kapłana świętem hasłem katolika: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — trzymając swego dzielnego konia za cugle, z uszanowaniem tak dalej mówił: „Wybacz przewielebny Ojcze, że nieszczęśliwy podróżny wśród nocy przerywa twoją spokojność; konieczność nakazała mi u ciebie szukać przytułku, i tu zdaje mi się znajdę spokojność, której dotąd na próżno szukałem.“

„Niech Bóg błogosławi twoje przybycie, odrzekł proboszcz tonem odwdzięczającym się za zaufanie, — moje powołanie nakazuje mi pomagać i służyć, ile tylko leży w mych

siłach. Przedewszystkiem proszę wejść do mojej skromnej siedziby; powietrze nie po temu, żeby dłużej można się wystawiać na jego nieprzyjemność; — ja tymczasem konia waszego poprowadzę do stajni, i obudzę gospodynię, ażeby się zakrzętnęła około tego, co wam po podróży nocnej, w takiej słońce jest potrzebne.“

„O konia mego nie troszcz się przewielebny Ojciec, ja sam się nim zatrudnię, ale oto tu jest coś innego, co godniejsze i potrzebniejsze twojej pieczy.“

Podczas gdy to mówił, odrzucił poły płaszcza i oddał księdzu nadobną dziecinę, której, jak gdyby przeczuwała w jak godne ręce jest złożona, spojrzała z całym zaufaniem niewinności w oczy kapłana, on zaś uściskawszy chłopczynę,łożył ją na swoim łóżku. Podróżny wyszedł z izby, zdjął z konia tłumoczek, siodło i uzdę, pogłaskał go jeszcze, jak gdyby mu dziękował za jego ważną usługę, uderzył go uzdą, a koń zrozumiałwszy wolę pana, puścił się cwałem z powrotem tak że za parę minut nie było słychać jego tętnienia. Gość zamknął wrota i wrócił ze zdjętymi z konia rzeczami do plebanii, —

gdzie znalazł syna pod najstósowniejszą opieką. — Proboszcz bowiem przywołał swoją gospodynię, starą Brygitę, która od razu swoim wzięciem zyskała zaufanie pięć lat życia liczyć mogącej dzieciny. Chłopczyzna już jej powiedział: że z ojcem był bardzo długo w podróży; że jego ojciec jest bardzo dobry, ale zawsze smętny, czasami bardzo płacze, a wtenczas i on niemoże wstrzymać się od płaczu; — że w domu ma sarnę tak oswojoną, że z ręki jada podaną strawę; że mieszkał przedtem w wielkim zamku i miał matkę, ale ona gdzieś zginęła, ojciec też nie wie, gdzie się podziała. Tak mały poufnie mówił gospodyni, gdy ojciec wrócił do izby.

Na pytanie proboszcza, gdzieby umieścić konia, odrzekł: „wierne zwierzę udarowałem wolnością, o ile, że od dnia dzisiejszego nie myślę więcej nań siadać. Nie pytaj mnie czemu; później powierzę ci moją tajemnicę, nie jesteśmy sobie bowiem obcymi, ty mię tylko z powodu długiego niewidzenia nie poznajesz; pozwól przeto, że się rozgoszczę, bo słońce przemoczyła mię ze szczętem.“ Zdjął więc płaszcz i ogromny kapelusz ciemnymi ozdobiony piórami, i złożył na stołku.

Podczas tego proboszcz miał sposobność przypatrzyć się bliżej swojemu gościowi. Był to rosły, poważny mężczyzna, którego ciemny włos zdawał się przeczyć sędziwości, jaką w jego obliczu zmartwieniami pooranem było widać. Podług sądu zapatrującego się nań kapłana znacznie już przeszedł pięćdziesiąty rok życia, wszakże budowy był mocnej i czerstwej; ubiór jego był bogaty lecz znacznie podszarzony, tu i owdzie poprzepalany właśnie jak gdyby co tylko wrócił z bitwy. Suknię krótką ciemnego koloru, z obszernymi rozporkowemi rękawami, okrywał na piersi sztucznie wyszywany łosiowy kolet, na który ze złotego łańcucha szyję obwodzącego, spadał bardzo drogi medalion. Wysokie bóty ówczesnej mody okrywały całą niższą połowę ciała, a złote ostrogi za każdym stąpieniem brzmiały po całej izbie. Wielki miecz, oznakę rycerską, odpasał był poprzecznie i postawił w kącie izby obok wniesionych swoich rzeczy. Powaga i branie się gościa, zapowiadały gospodarzowi, że ma przed sobą osobę należącą do najwyższej klasy społeczeństwa. Pomógł przemokłemu rozebrać się, i wnet siedzieli obaj poufale przy kominku,

którego suty ogień rozgrzewał zziębłego gościa. Brygita tymczasem postawiła wieczerzę na przykrytym stole, która ojcu i synowi dobrze smakowała. Po wieczerzy złożyła malca w miękką pościel, w której niebawem smacznie zasnął.

Obydwaj zaś mężowie, że im o spaniu wzruszenie wzajemne myśleć nie pozwalało, zbliżyli się ku sobie, i gdy się wszystko w domu uciszyło, gość stanął przed kapłanem i położywszy poufnie prawicę na ramię jego odezwał się w te słowa: „Przewielebny ojciec Anzelm nie poznaje widzę swego dawnego przyjaciela. — Czy mię to wiek tak dalece styrał, że i najwierniejszy mój przyjaciel mnie poznać nie może?“

Lampa rzuciła promień na wspaniałą twarz mówcy, a ten jakby błyskawica przeszył ducha proboszcza, i jakoby nań wróciła dziarskość młodzieńca, powstał z krzesła i rzucił się w objęcia gościa. Byłto moment wielkiego wzruszenia w oczach ściskających się osób zabłysła łza radości, bo w tak wzniosłych chwilach jest człowiek wyniesiony ponad ziemskość i niknie dlań to wszystko, co go trapi. — Po długim niemém — bo dusze

tylko rozmawiały — uściśnieniu, kapłan wzniosłszy oczy i ręce ku niebu odezwał się pobożnie rozczulony: „Teraz Panie! pozwól słudze twemu zasnąć w pokoju, boś zadowolnił jego najusilniejsze ziemskie życzenie! Przedłużyłeś łaskawie dni życia mojego, aż do zobaczenia męża, któremu po Tobie najwięcej zawdzięczam mój los! Niech Ci Boże wielki będą dzięki wieczne za tę łaskę!“ — Tak czule wynurzył myśl swą pobożny kapłan; poczem wzruszonym głosem odezwał się do przyjaciela: „Zaiste szanowny hrabio! dobrześ uczynił, iżśśś zawitał w dom starego sługi domu twego, i w taki sposób zgotował mu radosną godzinę, wśród dokuczających mu umartwień. — Daruj mi, że oczy moje nie zaraz cię poznały; boćto długi przeciąg czasu leży pomiędzy dniem dzisiejszym, a ową chwilą, w którejżeśmy jako rzeźcy młodzieńcy wzajem żegnali się!“

„O prawda, że bardzo długi i bolesny przeciąg czasu rozłączał nas, mój szanowny przyjacielu! — Nie jedną godzinę poświęciłem wspomnieniom naszego pożycia szkolnego, były to chwile wielkiej dla mnie pociechy gdy sobie wystawiał, jak ty Szano-

wny mężu dodany mi przez mego ojca za mentora na wszechnicy padewskiej wiernym byłeś wodzem młokosowi i wstrzymałeś mię od niejednej niedorzeczności, a prowadziłeś mię jak anjół stróż drogą cnoty i pobożności. I dziś przybywam do Ciebie w celu wylania mego udręczonego nieszczęściami serca, — w celu zasiągnięcia od Ciebie przyjacielskiej rady, jakiej sobie znękany nieszczęściami dać niemogę bez obawy abym nie zbłądził.“

„Przypominasz sobie, że po śmierci ojca odziedziczyłem obszerny jego majątek. Tyś był proboszczem w dobrach moich i pobłogosławiłeś nawet jako proboszcz i przyjaciel mój związek z Gertrudą; — ta już dawno nie żyje, a z nią znikła moja doczesna szczęśliwość. — Już Ciebie pod ów czas nie miałem obok siebie, bo obowiązki Twoje względem zgrzybiałego wuja odwołały Cię od boku mego, i to wchodziło także w skład mego nieszczęścia.“

„Po śmierci mej żony, poświęciłem się wychowaniu pozostałej mi córki Anjeli. Dałem jej najstaranniejsze wykształcenie, które skutek jak najświetniej uwieńczył. Z niedo-
opisania wielkiem zaufaniem przywiązała się

do mnie; umiała odgadywać najskrytsze moje życzenia, i była najszczęśliwszą, gdy mogła je wypełnić, a na ten cel gotowa była wszystko ponieść w ofierze. O jakżebyś ci przyjacielu mógł wiele napowiadać zdarzeń z tych tak prędko ubiegłych dni! — Ubodzy okoliczni wielbili ją jak Anjoła, którego im Bóg zesłał w ich biedzie na pociechę.“

„Tak dożyła Aniela roku życia ośmnaśtego, a jej nadobność rozgłoszono po całym czeskim kraju. Mój zamek Worozdyn zapełniał się więcej niż dotąd gośćmi: synowie najszlachetniejszych famillii czeskich odwiedzali mię. Mój dotąd cichy zamek jakby czarnoksiężką sztuką zmienił się, bo kiedy w dzień moje bory brzmiały wesołemi okrzykami myśliwych, wieczory przepędzali goście na biesiadach przy hucznej muzyce.“

„Po upłynionym roku hrabia Werner z Hildenhorst zyskał przychylność mej Anieli, a ja tej parze szczęśliwej serdecznie pobłogosławiłem. Lecz od czasu jak kapłan związał świętym węzłem tę parę, zgasła gwiazda mojej pomyślności że szczętem. Hrabia Werner, którego ujmująca powierzchowność, rycerska ogłada, połączona z męską pięknnością,

zdobyły serce córki i ojca, w parę miesięcy po ślubie zmienił swój sposób życia, zrzucił maskę, której na to użył, aby nas oszukać. Że pochodził z mało majątnej, lecz szlacheckiej czeskiej familii, nie przeszkadzało mi to powierzyć mu los mej córki; oddałem córcę piękne dobra Worozdyn w posagu, i postawiłem zięcia w możności życia odpowiednio swemu stanowi. — W przekonaniu że mego dziecka los zapewniłem pomyślny, po dwóch miesiącach wybierałem się do Morawii, aby tam w moich dobrach żyć spokojnie, — gdy przybyły do mnie zacny gość zmienił zupełnie moje, postanowienie. Był to hrabia Wallenstein, który wracając z wojny tureckiej raczył odwiedzić przyjaciela swego; kiedyś, przez moje polecenia w Padwie oddałem mu niepoślednią przysługę, a prócz tego byłem z jego familią stosunkami przyjacielskimi połączony. — Wszakże przypominasz sobie owego dzikiego Wojciecha? teraz byś nie powiedział że to ten sam! Zapał młodzieńca ustąpił, a miejsce jego zajęła jakaś ponura tajemniczość, która tylko dla poufnych przyjaciół otwiera się. — Zebrał dwieście konnych swoim nakładem dla księcia Ferdynanda

Styryjskiego, naprzeciw Wenecyi, za co go tenże mianował Pułkownikiem, a mnie w pochlebnych wyrazach zawezwał, aby walczyć pod jego chorągwią. Winienem był wiele grzeczności księciu, przeto dałem się namówić do tej kampanii. Krótko mówiąc: w przeciągu parę tygodni pożegnałem córkę.“

„Walenstejn i ja walczyliśmy przy Gradyse, którąśmy po krwawej rozprawie uwolnili od oblężenia. Książę był nam za to wdzięcznym: Walenstejn dostał dowództwo nad milicyą w Morawii, ja otrzymałem znakomite dobra. Usilnym prośbom Walenstejna, ażeby przy nim pozostać jeszcze dłużej, zadosyć uczynić nie mogłem, bo niepokojące wieści, które mię dochodziły z Worozdyna, pędziły mię wtamte strony, aby stanąć w obronie córki. Człowiek któremu powierzyłem los mej Anieli, szkaradnie się z nią obchodził. Zaledwo upłynęło parę dni od mojego wyjazdu, a spokojny zamek został przepełniony dzikimi i nieokrzesanymi hultajami; lichwiarze, którym lekkomyślny człowiek winien był znaczne sumy, osaczyli go i zagrabili większą część gotowizny, którą mu pozostawiłem. — Pobożna żona widziała te

marnotrawcze rządy, i milczała, powierzała swoje żale Bogu tylko w zamkowej kaplicy, klęcząc przed ołtarzem. —

„Podobny duchowi piekielnemu rządził zamkiem jakiś kapitan Torelli, przyjaciel od serca mojego zięcia. Był to włos i łączył z zepsutością serca i rozwiążnością obyczajów, chciwość niepochoamowaną. — Córka moja nie taila pogardy ku temu zbrodniarzowi, a on jej poprzysiągł zemstę. — Wnet udało się mu rozdziwić umysły małżonków, i skłonić męża do tyranii względem małżonki. Rozgłosił, iż padłem pod Gradyską, listy które pisywałem do córki przejmował i niszczył. Zięć zapewniony z tej strony przed odpowiedzialnością rozpuścił się na wszystko złe, pił, marnotrawił majątek, rząd domu prowadził chciwy Torelli, sobie zyski tajemnie przywłaszczając; a żona wzgardzona od męża i wystawiona na surowe obchodzenie się Torellego, legła ciężką chorobą znękana. Gdy takiego stopnia doszło położenie mej córki, udało się kapellanowi zamkowemu dowiedzieć się, że wieść o mojej śmierci jest fałszywa, i natychmiast z największą ostrożnością doniósł mi cały stan rzeczy, i co się działo na zamku.“

„Pewnego dnia siedziałem zadumany w moim namiocie, dotychczasowy brak wiadomości z Worozdynu, brak wszelkiej odpowiedzi na moje wielokrotne pisanie, niepokoił mię; w tém zawiadamiają mię, iż umyślny posłaniec z Worozdynu żąda posłuchania. Pragnąc dowiedzieć się o powodzeniu mojej córki kazałem mu wejść niezwłocznie i odebrałem bilet następującej treści:

„Szlachetny hrabio! Jest to dla mnie przykrą powinnością sprawić Wam nieprzyjemność, ale zmusza mię do tego konieczność a wasz duch niech przyjmie tę wieść z mężstwem chrześcianina. — Wasza córka przesyła Wam przezemnie pozdrowienia najczulszej miłości, — może one będą już ostatnie, które odbieracie. Hrabia Hildenhorst oszukał wasze w nim położone zaufanie jak najszkaradniej; bez wszelkiego względu panuje on wraz z swym złym duchem Torellim na Worozdynie; a wasze dobra są zmarnotrawione, poddani udręczeni, bo rządzi tu zbrodnia. — Hrabina córka wasza uległa pod niegodziwem z nią obchodzeniem się; przecieź najniebezpieczniejszą godzinę przeżyła szczęśliwie, porodziwszy syna, nadobne

dziecię leży obok dogorywającej matki, która jemu resztę sił poświęca. — Jeżeli jest Wam możebna po odebraniu tego pisma pośpieszyć do córki, może ją jeszcze zastaniecie przy życiu. Jeżeli usilne pragnienie córki widzenia się z ojcem przed śmiercią, zdoła jej ucho-
dzącego ducha zatrzymać, mam w Bogu nadzieję, że ją jeszcze przy życiu zastaniecie. Lekarz i ja nie odstępujemy chorej; hrabia z letargu swego zbudzony jest zupełnie na duchu zbity; kapitan od wczoraj znikł; dwór ponury i cichy, jak grób. Niech Bóg przez Anjoła swego prowadzi Was jak najspieszniej.“

„Ośłupiałem na tę nowinę; zdało mi się, że to tylko straszliwe marzenie, ale na jawie widziałem list, który jak ostre żelazo ku sercu obrócone trzymałem wręku; opadła mi przeto głowa pod ciężarem zmartwienia. W końcu powstałem jakby w rozpacz, pobiegłem do namiotu przyjaciela, i w kilku wyrazach określiłem mu smutne moje położenie. Ten nieugiętego harakteru mąż podał mi poruszony mojem nieszczęściem, rękę, a ja z rozczuleniem pożegnałem go. Za ledwo zeszła godzina, a ja w towarzystwie jednego tylko sługi już dążyłem ku domowi.

ROZDZIAŁ II.

Smierć Anieli.

„Możesz sobie wystawić szanowny kapłanie, że w podróży mało myślałem o wypoczynku; gdy zmrok czynił drogę nie pewną, stawaliśmy, w jakiegokolwiek chacie, a jak tylko poczynało dzień, jużśmy dążyli naprzód. Noc jest dobrodziejstwem dla sił strudzonych, na mnie nie okazywała tych skutków. O jakżeto często zazdrościłem szczęścia słudze memu, smacznie śpiącemu u nóg moich! — Rozdrażniona dziennem rozważaniem smutnego położenia wyobraźnia przesuwawała mi w duszy nieustannie sceny Worozdynu i w ten sposób trapiła ducha mego: to widziałem córkę na marach; — to stawał mi na oczy lekarz siedzący przy jej łożu, ponuro

głoszący, że już skończyła. — Raz wystawiał mi sen długi szereg obrządku pogrzebowego; inny raz widziałem jak kończył kapłan modlitwy nad konającą; zgoła też sama zawsze myśl, że to co najdroższego miałem w życiu niknie mi, dręczyła mię, a odpędzić téj mary nie było podobne. Nie raz w życiu mojem zajrzała mi śmierć w oczy, ja jej bez trwogi zajrzałem w oczy; tu zaś nękany cczą marą drzałem jak liść osowy. Nie raz porywałem się z postania wśród nocy, padałem na kolana pod gołym niebem i błagałem Boga o łaskę dla dziecka mego; trwałem w takiej modlitwie aż do rannéj zorzy, którą spostrzegłszy zziębły i drżący spieszyłem zbudzić sługę, a coraz nieszczęśliwszy pędziłem do mety mojej. Już ośm dni byłem w podróży, gdy pewnego jasnego poranku błysnęły mi wieże Worozdyna; w pierwszym momencie mimowolnie ściągnąłem cugłami konia, jak gdybym przerażony widokiem okropnym chciał zostać w niepewności co do istotnego położenia rzeczy. Wzruszenie zrozumienia twarz moję, serce poczęło żywiej bić, ale zaraz téj chwili zwarłem konia ostrogą i pędziłem jak szalony. — Stanęliśmy u

bramy zamkowej, opuszczono most, przebiegłem go z pośpiechem.

Cierpka to boleść, gdy przychodzi opuścić to życie, w którym tyle doznawało się łask Bożych. — Wesoła młodzież, czerstwy mąż, zgrzybiały starzec, zadrzą w obec nadchodzącej śmierci, która jak kośnik wali o ziemię kłosa bujnej niwy; — ale nierównie okropnieję cierpi ojciec, kiedy jego jedyne a lube dziecko, w oczach jego schodzi do grobu!

Lekarz wprowadził mię do izby dogorywającej Anieli; lekki sen zamknął powieki cierpiącej. Wielki Boże! jakże haniebnie odarła ręka cierpień nadobne listki tej róży! — Podobna figurze w marmurze ciosanej, leżała w białej pościeli; twarz wybladła, wargi zsiniałe, włosy rozpuszczone, oddech ciężki, usta tu i owdzie marszczyły się boleścią. Długo wpatrywałem się w ten okrutny obraz, — niepodobna wypowiedzieć, co wówczas ucierpiałem.

„Poprowadziłem kapelana i lekarza na stronę, a podziękowawszy pierwszemu za uwiadomienie mię o stanie rzeczy, zapytałem drugiego, czy jest jeszcze jaka nadzieja? — „Najwyżej dwanaście godzin żyć może“ od-

rzekł smutnie zapytany. Jakaś siła przechodząca ludzką rachubę, utrzymywała dotąd jej życie. Cierpiąca z pewnością zaręczała, iż ojciec przybędzie, głos tajemny o tem ją upewnia. Czasami, mówili mi, leżała z wznie-
sionemi w górę oczyma, i prawiała niepojęte rzeczy, że widzi ojca już w tém już w owém miejscu; — lub modliła się, ażeby jej Bóg szczęśliwie przyprowadzić go raczył. — Wzniosłem przy tém opowiadaniu wdzięczny umysł ku Bogu, który w szczęściu i nieszczęściu nami rządzi.

„Pobożny kapłan poprowadził mię w milczeniu do kolebki, która stała w bliskości łóżka chorej, której w pierwszym wzruszeniu nie zauważałem. Odsłonił zieloną firankę, i zobaczyłem pięknego jak anioł chłopczyka, śpiącego równie jak nieszczęśliwa jego matka. Schyliłem się ku niemu, ażeby z niewinności zaczerpnąć pociechy; długo tak schylony wpatrywałem się w dziecię, gdy usta córki śpiącej wymówiły me imię. Mówiła we śnie, poślyszane urywkowe wyrazy zapewniły mię, że jej myśl zajęta jest mną i dzieckiem; uśmiech igrał na jej ustach. — Po małej chwili westchnęła głęboko, i zwolna

otworzywszy oczy spostrzegła mię. Dziwną skwapliwością podniosła się, i ujęła mię wyschłemi rękami za szyję. Długo nie mogliśmy znaleźć wyrazów, aby wypowiedzieć sobie nasze uczucia, rzesiste łyzy tłomaczyły tylko nasze serca. W końcu odrzekła: „mój drogi! mój kochany ojcie! dziękuję ci, iżś twego dziecięcia nie opuścił w tej ciężkiej doli! — A czyżbym ja mogła rozstać się z tym światem nie pożegnawszy się wprzód z tobą? — O nie! Bóg jest dobry, zatrzymał cios ostatni aż do widzenia się z tobą. — Ojcie! podaj mi twą rękę, ażebym się zdołała wyprostować i tobie przypatrzeć się dobrze. — Tak! a teraz podajcie mi moje dziecię, mego Rejnholda, ażebym go pobłogosławiła.“

„Przycisnęła podane sobie dziecię do serca, pocałowała i oddając mi je rzekła: „Weźmij ojcie tego chłopczyka, i bądź mu przewodnikiem w życiu tém ziemskim, — bo ja już nie mogę!“ — Boleść rozłączenia owładnęła nią, — zatopiła łzą zroszone lice w poduszki. Po chwili milczenia, tak jak gdyby pęknięta, podniosła się raz jeszcze, wzrokiem uroszym spojrzała na nas, a oblicze jej zdawało się być niebieskiem

światłem oświecone. Lekarz ścisnął mię za rękę, zrozumiałem że mię ostrzega o końcu jęj życia. Aniela wsparła swą głowę na moję piersi, pożegnała nas, zapewniła że przebaczyła wszystko mężowi, i zasnęła na wieki przy mojem sercu.“ —

Dotąd mówił hrabia mocnym głosem, lecz tu znękany temi okropnemi wspomnieniami, zakrył twarz oburącz, aby ukryć łzy, które ją skropiły. Po niejakim czasie uspokoiwszy się tak dalej rzecz prowadził:

„Bóg dodał mi siłę, iżem ci przyjacielu zdołał opowiedzieć moje nieszczęścia, aż do tej okropnej godziny; słuchaj jakie dalej na mnie przepuścił Bóg doświadczenia. Anieli zwłoki spoczywały w grobie familijnym; ja często w dzień przesiadywałem w tém miejscu skrapiając je łzami. Rejnholdowi, tej pamiętce po lubej córce, poświęcałem resztę czasu; rośł wesoło, nie będąc w stanie ocenić swego nieszczęścia.

„Hrabia Hildenhorst, jak już wspomniałem, przygnębiony nieszczęśliwą słabością swęj żony, z śmiercią jęj wpadł w stan zupełnego obłąkania. Mój widok przerażał go, jak zemsta! W dzień zamykał się w swęj

zbie, i nikt nie mógł zbliżyć się do niego prócz starego sługi, który mu jedzenie i picie donosił; blady jak śmierć, ponury jak zbrodnia, ślęczał caluteńki dzień w krześle. Nocną zaś porą, przebiegał kurytarze i wszystkie kąty zamku, jak jaka mara; wszelkie poruszenie i każdy odgłos przerażał go; szemrał cicho, lub przeraźliwie krzyczał; padał częstokroć na posadzkę i jęczał jak gdyby dręczony od mocy piekielnych. Ludzka pomoc była tu zupełnie daremną, można było tylko łowić się nad nieszczęśliwym, i czerpać z niego przestrozę, jak szkaradnie prześladowuje kłopotliwiec. — Nikt bez niebieskiej pomocy życia do niego przystąpić nie śmiał, z daleka tylko dawał nań pilną baczość sługa, aby przeszkodzić jakiemuś możebnemu nieszczęściu, i zdawał mi codziennie sprawę z jego zachowania się.

„W tak przykrój jednostajności upłynęło lat cztery. Czas zleczył po części rany moje; wnuk — żywy obraz matki — swém prowadzeniem się i przywiązaniem do mnie, krzepił stroskanego ducha mego, i tak począłem zapominać o tem, co ucierpiałem, gdy nowe pasmo nieszczęść znowu się rozwijać poczęło.

„Wiadomo ci jest przyjacielu, że Fryderyk król czeski, monarcha słabego harakteru, mocno uciśniony jest przez Cesarza Ferdynanda; lecz to ci jeszcze nie może być wiadome, co się przed kilku dniami stało; wiedzże zatem że król jest na głowę pobity. Nie-dołężny, samym rozkoszom zmysłowym oddany, ułatwił drogę Cesarzowi, że czeską koronę na nowo sobie przywłaszczył, który powierzył dowództwo swego wojska księciu bawarskiemu Maksymilianowi, mężowi obrotnemu i sztuki wojennej świadomemu.

„Walenstejn służył pod jego znakami, i zaszczycił swe imię nie jednym chwalebnym czynem. Skorym pochodem posuwał się zwyciężko aż pod stołeczne miasto Pragę, jak dowodzi jego ostatni list, (bo stałem z nim w ciągłej korespondencyi) — i tu przyszło do ostatniej walnej rozprawy, jak nadmienilem.

„W gronie sprzyjających królowi, liczę wielu mi nieprzyjających. — Jako magnat czeski byłem dwa razy wezwany do dworu; nie usłuchałem tego wezwania, bo nie królowi, lecz Cesarzowi zobowiązany byłem przysięgą; to przecież stało się przyczyną nienawiści. — Do tego jeszcze dodać muszę, że

kapitan Torelli, ów niegodziwiec, który zięcia mego ze szczętem zepsuł, znalazł przytułek na pragskim dworze, gdzie wkradłszy się do łask króla, nietylko był osłoniiony przed karą, na którą zasłużył, lecz owszem knuł zdradę przeciwko mnie. Mam na to pewne dowody. — Ostatnie wypadki zabezpieczały mię tymczasowo od skutków tej zaciętej nieprzyjaźni: Praga oblężona przez wojska cesarskie; Walenstein parę mil tylko od Worozdyna oddalony; do tego list jego zabezpieczający mię od wszelkiej napaści maroderów cesarskich, to wszystko dosyć mię zabezpieczało. — Prawda, że los mój ojczyzny ciążył mi mocno na sercu, lecz skołatanie nieszczęściami zdrowie nie pozwalało pochwycić za oręż.

„Takowe położenie wypadków publicznych musiałem ci przedstawić, zanim opowiem ostatnie moje nieszczęście.“

ROZDZIAŁ III.

Spalenie Worozdynu.

„Przed czterema dniami, siedziałem wieczorem przy kominku grzejąc zziębłe członki, na mém łonie siedział snem zdjęty Rejnhold. Było wieczór podobny do dzisiejszego, zimny, słotny, ponury; — żadna gwiazda nie przyświecała, wiatr wył jak szalony, deszcz ulewny bił silnie w okna. Mało mię to obchodziło siedzącego w cieplej izbie i piastującego na łonie to, co mi na tym świecie było najmilsze. — Wtem wpada zadyszony i strwożony sługa do izby i tę wieść głosi: „Szlachetny hrabio! usposób się smutną usłyszeć nowinę! — W pobliskiej wsi dokazuje odział Węgrów w sposób najokropniejszy! — Praga w ręku cesarskich, a wojska królewskie na wszystkie rozpierzchły się strony.

Korzystając z zamieszania węgierscy żołnierze napadają wsie i rabują lud biedny. Masztalerz Wejt był właśnie we wsi, gdy rota kapitana Torelli, który tu tak okropnie gospodarzył, wpadła do wsi. — Łotr ten pytał się jednego z chłopów, czy hrabia jesteś w domu, i dodał, iż ci chce oddać wizytę, którą popamiętasz. — Przestraszony człowiek nie zdołał dać odpowiedzi, za co uderzył go Torelli płazem pałasza w głowę tak okrutnie, że zapytany padł bez zmysłów; Wejt zaś, który się nie myli, bo przy świetle pochodni dobrze mógł rozpoznać Torellego, zemknął i zadyszany właśnie co przyniósł tę smutną wiadomość.“

„Przełęczony tem doniesieniem, porwałem się z krzesła, przytomność zupełnie mię odbiegła; we wsi dało się słyszeć dzwonenie na gwałt, a płomień okropny palących się domów włościańskich oświecił straszliwie okna mego mieszkania. Mieszkańcy zamku wpadali jeden za drugim po radę i rozkazy. — Wyjrzałem oknem; o Boże! jak okropna scena przedstawiła się oczom moim! — Wicher miotał płomienie palących się domów, co tylko zapalił kościół, żoł-

dactwo uwijało się po wsi, w lewej ręce trzymając pochodnie dla zapalania ochronionych jeszcze pomieszczeń, w prawej mordczą broń, ścigając nieszczęśliwych wieśniaków; przeraźliwy krzyk i serce rozdzierający płacz uderzył me uszy; a to mię z osłupienia obudziło, męstwo i odwaga odżyła we mie. Przypasałem miecz do boku, zgromadziłem moich ludzi, zapaliłem ich odwagę dzielnymi słowy, wydałem stosowne do obrony zamku rozkazy. Wszystko, co zdolne było do boju, stanęło w kilku minutach zaopatrzone bronią, czterdziestu zuchów liczyłem w moim poczie. Zatarasowaliśmy bramy zamku, naznosiliśmy broni, kul, kamieni, belek na mury; krótko mówiąc byliśmy wszyscy gotowi przyjąć dzielnie nieprzyjaciela, bić się do ostatniego bośmy byli przekonani, że nie można się spodziewać pobłażania od napastników. Ja stanąłem w najniebezpieczniejszem miejscu przy moście, gdzie rów nie był dosyć głęboki.

— Nie długośmy czekali na nieprzyjaciela, wnet stanął trębacz z wezwaniem, aby się poddać, a gdyśmy odmowną dali odpowiedź.

nastąpiły pogróżki, i zamek został opasany. Na powtórne wezwanie, odrzekłem: że potrafię oprzeć się najeźdźnikom. W odpowiedzi świsnęła obok mnie kula i zabiła człowieka, oczywista, że mnie ofiarowaną była, przeto skoczyłem za mur i rozkazałem ludziom dać ognia. Nasze dobrze mierzone strzały powaliły do trzydziestu nieprzyjaciół, ale i z naszych padło kilkoro. — Z natężoną odwagą następowali Węgrzy; spuściło się ich kilkadziesiąt w wąwóz i chcieli ztamtąd opanować most, kazałem zwalić na nich przygotowane drzewa i kamienie, to ich podruzgotało, a ja odetchnąłem widząc, iżemy naszą obronę nie źle przerzedzili nieprzyjacielskie szeregi, i że niektóre oddziały oddalały się od bramy. — Ale mylna to była pociecha, nie wiele bowiem upłynęło czasu, gdy z drugiej strony zamku usłyszałem szczęk broni. Ośłupiałem, bo przyszła mi myśl: czy też nieprzyjaciel nie odkrył podziemnego wchodu? — Torelli na czele; ten Torelli, któremu żaden zakątek zamku nieznanym być nie może. — Zebrałem co tylko było można ludzi i pośpieszyłem do tylnego wału. — Boże! mój do-

mysł nie był płonny! — Podobnie jak duchy piekielne wyłazili nieprzyjaciele z podziemnych sklepień. Moi walczyli jak lwy, ale cóż? kiedy nieprzyjaciel liczbą nas przewyższał. Postanowiliśmy drogo sprzedać życie nasze; cięliśmy na lewo i na prawo, napastnicy padali we krwi własnej. W tem słyszę chrapliwie wymowione nazwisko moje, oglądam się w tę stronę, a oto stoi przedemną zemstą pałający Torelli. Przy blasku pochodni poznałem tego łotra, który — przypominasz sobie — w Padwie nas obydwoch zdradziecko napadł, chcąc się pomścić za urojoną obrazę. Jego krwiożerczy zamiar nie udał się na ów czas, ale zemsta pozostała w jego czarnej duszy, a zabiwszy córkę swém okrutnem postępowaniem, postanowił zgubić i jej ojca.

Otóż drugi raz stanęliśmy na przeciw sobie; nasze pałasze poczęły szczekać; reszta w milczeniu zrobiła zawieszenie broni, aby się przypatrzeć walce swych naczelników, oświeconej rażącym światłem pochodni. Zdradziecko zmierzał długi pałasz nieprzyjaciela do mojej piersi, aby ją przeszyć, lecz nadzwyczajną siłą i obrotem odpięra-

łem takowe razy, upatrując sposobności aby mu zadać raz śmiertelny. Właśnie podniósł miecz w górę, ażeby nawałem uderzenia powalić mię, gdy na raz zawył wiatr, i z przyległego skrzydła zamkowego buchnął srogi płomień; to go zmieszało na moment; co spostrzegłszy ciałem go z całej siły, i powaliłem na ziemię. Wrzask trwogi i zemsty, wydobyty z piersi węgrów, był śpiewem pogrzebowym temu łotrowi. W czasie gdy krwią zbrozonego jedni odnosili na stronę, uderzyli drudzy na mnie zapalczywie. Moi osłonili mię i z wytrwałością odpierali nieprzyjaciół. Poświęciliśmy się na śmierć, i walczyliśmy z rozpaczą; mnie Bóg łaskawie ochronił, nie odebrałem żadnej rany; ale gdy obok mnie padali towarzysze, i jabym niezawodnie padł był w obronie mego majątku.

„W tym krytycznym momencie przybiegł do mnie kapelan z lekarzem i szepnął mi: „hrabio! pamiętaj o Rejnholdzie! — On ma prawo do twego życia! — Chodź z nami póki jeszcze czas!“ — Rzuciłem oczyma boleści na moich wiernych towarzyszków; jakże opuścić tych, co dla mnie na śmierć

się poświęcili? — Ta myśl mną zachwiała, ale pochwycił mię lekarz z kapelanem pod ręce, i gwałtem uprowadzili z pobjowiska. — Po kilku minutach przybyliśmy ukrytym kurytarzem na przeciwną stronę zamku, i stanęliśmy za murami. Tam za ich staraniem czekał na mnie sługa trzymając osiodłanego konia za cugle i Rejnholda na rękę. Przycisnąłem wnuka do serca, okryłem się obszernym płaszczem, wsiadłem na dzielnego rumaka i wzruszony rzekłem do moich przyjaciół: „bądźcie zdrowi! Oto jeszcze raz wypędza mię przykry los z mojej własności, mnie latami styranego starca! — Jeżeliby zmienny los nie zechciał nas tu na ziemi kiedyś połączyć, to zobaczymy się niezawodnie tam, gdzie niema smutku i narzekania!“ — Amen odrzekli przyjaciele; a po podaniu sobie wzajem wdzięcznych dłoni, pędziłem lotem błyskawicy wśród ciemnej nocy.

„Wnet oddaliłem się znacznie od mego zamku, który z daleka ujrzałem jeszcze w okropnych płomieniach. Łzy zrosiły moje lica na wspomnienie, iż nie było mi wolno pożegnać zwłok mej córki, — choć znęka-

ny zmartwieniem, znużony walką, przecież zwieriałem ostrogami konia, i pędziłem przez pola, aby nie natrafić na rozbitków z pod Pragi. — W końcu stanąłem przed samotną wśród lasu stojącą chatą. Węglarz mieszkał w niej, i dał przytułek mnie i wnukowi mojemu.

„Tak więc stałem się wygnańcem, opuszczonym, samotnym; wszystko co mi było miłe, niszczało; córki zwłoki pokryte zwaliskami zamku, mąż jej obłąkany, spalony lub srodze zamordowany, majątek w rękę nieprzyjaciół; pozostało mi tylko dziecię, które za pomocą przyjaciół uratowałem z pogorzeliska. Biedna sieroto, jakież ci zdołam dać wychowanie, sam ogołocony ze wszystkiego! W tym nawale bolesnego uczucia, padłem na kolana i zawołem: „Wielki Boże! — Siła ręki Twojej wszechmocnej upokarza mię dotkliwie! — Twoje rządy są niedościgłe! Jak ciała te niebieskie bieżą raz sobie zakreśloną drogą, tak ręka Twoja wskazała drogę człowiekowi, a on nie wie, co go czeka w najbliższej godzinie; ale Ty prowadzisz go przez cierpienia do szczęścia, bo jesteś dobrym jego

ojcem. Tą wiarą żyję i nieupadam; wiem że czuwasz nad nieszczęśliwym tułaczem i poprowadzisz mię tam dotąd, gdzie znajdę ulgę dla strapionego serca. — Zlituj się nad biedną sierotą, która ujrzała świat na śmiertelnym łożu matki. Bądź mu ojcem przez ciąg życia jego!“

„Cudownie wzmocniony temi myślami, rozważałem co dalej rozpocząć należy. Czegoż ja, znękany wiekiem i dolegliwościami, mogłem już szukać na tym świecie? — Spokojności i odosobnienia od świata zapragnęła dusza moja. Ale dokąd się udać? — Wprawdzie posiadam ja jeszcze dobra w Czechach, ale muszę wyznać, że mi świat zbrzydł zupełnie, bo byłem świadkiem, jak zbezczeszczono obraz Boski w człowieku, i miałem wrócić, aby być świadkiem tych obmierzłości? W tém skierował niezawodnie Bóg myśl moją ku Wam, ku przyjacielowi mojej młodości, o którym wiedziałem, że mieszkać w spokojnych dolinach. Do Was więc postanowiłem dążyć, ażeby Wam powierzyć moje nieszczęścia, znaleźć lekarstwo na rany serca, a potem przy waszej radzie, w cichym jakim zakątku, poświęcić się wychowaniu

mego Rejnholda w bojaźni bożej. I to jest co mię do Was szanowny Przyjacielu przywiodło; znacie moje nieszczęścia, moje cierpienia, przyjmijcie mię pod Waszą opiekę, niech schyłek mego życia nacechowany będzie wyrzeczeniem się wszystkiego: pokorą. Zrzekam się moich godności, moich urzędów, które mię na świecie zdobiły; do świata nie mam żadnych pretensyi, nie znanego nikomu, niech mię obejmie jaka chatka pustelnicza, wraz z wunkiem moim. Dziecię to ma się dowiedzieć o nazwie swych rodziców i swych dalszych stosunkach w późniejszym dopiero wieku; a dotąd niech się sposobi na gruntownego katolika, na światłego i czynnego obywatela; ja sam przeleję w jego serce i umysł to, o czém wiem, że mu kiedyś w towarzystwie ludzkim będzie potrzebném. Jeżeli mi się uda przy pomocy Boskiej zrobić z niego człowieka godnego, natenczas spokojny pójdę za wezwaniem Boga do wieczności. Przeto proszę Was, pozwólcie mi przy boku Waszym spocząć w tém zaufaniu, że przedsięwzięcie moje popierać będziecie. Jako sługa Boga i naszego Zbawiciela, wstępuję pod godła wiary.“

Kapłan słuchał z rozrzewnieniem mówiącego; gdy skończył pobłogosławił jego przedsięwzięciu, i uściskał go najserdeczniej. — Długo trwał tkliwy ten uścisk. Poczem przyrzekłszy nowemu pustelnikowi wszelką pomoc, i to z tak szczerą chęcią, z jaką niegdyś służył mu w młodości, zawezwał go do spoczynku, bo na wschodzie słońce już swe promienie rozpościerać poczynąło. — Wnet po trudach i niewygodach zasnął gość snem spokojnym.

ROZDZIAŁ IV.

Dni szczęścia po długich cierpieniach.

Całą zimę przemieszkiał hrabia w domu swego przyjaciela. Samemu tylko Wallensteinowi wiadomy był jego przytułek. Bo Wallensteinowi powierzył hrabia zarząd dóbr swoich, które prócz Worozdyna doń należały; reszta przyjaciół sądziła, iż poległ z rąk Węgrów lub gruzy zamku zasypały go. Wallenstein, aby życzliwych pocieszyć a nieprzyjaciół utrzymać w karbach umyślnie puścił wieść, że hrabia Czechin uszedł do Francyi, jako upoważniony od niego zawiadywał jak najsumienniejszemi dobrami swego kolegi. — Hrabia zaraz na drugi dzień po przyjeździe owym do proboszcza zdjął ubiór rycerski, przybrał się w habit pustelniczy, i prowadząc dziecię za rękę chodził dwa-

kroć na dzień do kaplicy, w której składał Najwyższemu swe modły. — Wieśniacy przypatrywali się początkowo z podziwieniem temu nowemu zjawisku: zczasem oswojeni i ujęci grzecznością tak pustelnika, jak i jego dziecięcia, nie mogli utaić uszanowania, jakim ku obydwom przejęci byli.

Skoro zaś wiosna odmieniła postać ziemi, wyprowadził się nasz pustelnik z dziecięciem do zbudowanej dla siebie w pobliskim boru chaty, gdzie przepędzał czas na modlitwie, pracy i wychowaniu swego wnuka; zwolna przyzwyczajał się do nowego sposobu życia, ale im dłużej tak żył, tém więcej znajdował upodobania, tém więcej nikły zmatrwienia, a nastawało zupełne zadowolenie; bo jakto mało ma człowiek istotnych potrzeb życia, jak skoro ich sam sobie nie tworzy; — jak zatem łatwo w tym względzie zadowolnionym być może! — Jak to wolen być może od nudów i czczości życia, skoro umie użyć czasu na szlachetne zatrudnienia! — Nigdy chałaśne wymysły ludzkie nie zdołają tyle zająć i rozweselić szlachetnie ducha człowieka, jak czysta i prosta natura! — Nie dziw przeto, że ten, który

przypatrzył się zmienności rzeczy ziemskich, który doświadczył ich cierpkości, oddalony od świata uczuł się teraz daleko szczęśliwszym, niż dawniej.

Poufny sługa Wallenstejna przyjeżdżał w pewnych czasach do hrabiego z ważnemi wiadomościami, o których tenże wiedzieć był powinien. Po takich odwiedzinach składał brat Walenty — taką bowiem przyjął hrabia nazwę — znaczne dary pieniężne dla cierpiącej ludzkości na ręce proboszcza, z obowiązkiem rozdania takowych biednym w parafii; a chociaż proboszcz nigdy nie wydał nazwiska dawcy, biedny lud potrafił to dobrze ocenić, że od czasu pojawienia się pustelnika spływa na niego obfite błogosławieństwo Boże; i równie tajemnie, w prostocie swego serca, umiał się odwdzięczać swemu dobroczyńcy. Prócz uszanowania jakie miał nieustannie dla niego, bywało często, że gdy wracał ojciec Walenty z kościoła, znajdował swą chatkę ochędożoną i przyozdobioną kwiatami.

Wesoło rośł Rejnhold życie w czystém i zdrowém powietrzu krzepiło jego ciało, a z największą starannością kształcone jego

umysł i przymioty serca, obiecywały dziadkowi najpiękniejsze owoce. Z natężeniem słuchał nauk swego nauczyciela, co mu nie było zrozumiałem, o to pytał się kilkokrotnie aż należycie zrozumiał i przejął do umysłu swego; a osobliwie nauka wiary i jej obyczajów była mu najważniejszą, tę zawsze w uczynkach okazać się starał. — Żywe uczucie dla prawdy, sprawiedliwości i słuszności zagnieździło się w duchu jego; bywało że na widok niesprawiedliwości i fałszu płonęła twarz jego rumieńcem żarliwości, lubo zwykle łagodność i uprzejmość zmarłej matki główną cechą była charakteru jego. — Miłowany i szanowany od mieszkańców okolicy, swobodnie pędził dni swej młodości; lubo nie jeszcze nie wiedział o swoich rodzicach, z przyczyny że hrabia zachowywał takowe objaśnienie aż do późniejszych lat jego.

Hrabia Hildenhorst, ojciec Rejnholda, wydobył się, prawie cudownym sposobem z gorejącego zamku Worozdyna, o czem Wallenstein po pięciu lub sześciu latach uwiadomił pustelnika. Jakim sposobem to się stało, nie umiał powiedzieć; to tylko z pe-

wnością donosił, że z obłądu swego jest zupełnie wyleczony i bawił jakiś czas na dworze swego przyjaciela, opłakując swoje dawne błędy. W duchu pokutnym odprawił pielgrzymkę do Rzymu, gdzie dostąpiwszy odpuszczenia grzechów, wrócił do Niemiec, śledząc teścia i syna, o których wiedział, iż żyją. Wieść uwiadomiła go, że są we Francyi: dotamtąd więc udał się przebiegając rozmaite okolice i dopytując się o nich; lecz gdy to było bez skutku wrócił znowu do Niemiec, bardzo smętny. Po długim czasie znalazł go Wallenstejn przypadkiem rotmistrzem w służbie cesarskiej, i widział, jak się odznaczył w kilku potyczkach odwagą i męstwem.

To wszystko wyczytał ojciec Walenty z listu Wallenstejna z wielką radością; i mówił w uniesieniu ducha sam do siebie: „Tak jest, znajdziesz to, czego z taką usilnością szukasz! téj pociechy widzenia syna nie odmówię ci. Luboś ty był mordercą mego lubego dziecka, ale między mną i tobą stawa Anjoł błagalny, twoje nawrócenie, który mię rozbraja i ciebie do serca przycisnąć każe. — Upłynąć prawda jeszcze lata, za-

nim uściskasz twego syna; ale tak być musi, bo Rejnhold, niż wystąpi w towarzystwie ludzkim, powinien być wprzód należycie ugruntowany w wierze i cnocie — umysł jego ma być zbogacony gruntownymi wiadomościami na świecie potrzebnymi. Spodziewam się, że Bóg udzieli mi i życia i pomocy, że tego dokaże!“ Rejnhold liczył właśnie ósmnasty rok życia, i przymiotami duszy prześcignął wszelkie nadzieje swego dziadka. Pobożny, przykładny, posiadał rzadki dar postrzegania i pojmowania rzeczy; — rozważał pilnie co widział lub słyszał, — i zasięgał ciekawie zdania swego mistrza, który widząc z jak doskonałym poglądem uczeń zapatruje się na rzeczy, rozpływał się z radości. Prócz tego posiadał znaczny zapas wiadomości, z łaski swego dziadka, który należał do rzędu uczonych ludzi; — piękny dar wymowy, języki, i postać ujmującą. Daleki od wszelkiej próżności i dумы, na każde skinienie był posłusznym; pełen szczerzej ufności w Bogu, posiadał męstwo i odwagę. — Zgoła ojciec Walenty mógł się poszczycić swym wychowawcą, i poznać, że właśnie jest czas, aby go wy-

prowadzić na scenę innego już nie ukrytego przed światem życia.

Było to właśnie pewnego wiosiennego poranku, gdy Walenty z Rejnholdem siedział przed domkiem, udzielając mu wiadomości. Po skończonej nauce właśnie chcieli udać się na przechadzkę, gdy posłyszeli tętęt zbliżającego się śpiesznie jeźdźca; zatrzymali się więc, i niebawnie stanął przed nimi na spienionym koniu sługa Wallenstejna. Skoczył zgrabnie i zwinnie z konia, i uklonił się i wręczył list od swego pana. Pustelnik odebrał go z widoczną radością i poprosił do chatki, w celu zasilenia podróżą zmęczonego posłańca. Rejnhold postawił gościowi chleba, sera i mleka, z uprzejmą prośbą, aby raczył pokrzepić się. Sługa, stary żołnierz, prostego sposobu myślenia, siadł i pożywał. — Ojciec Walenty tymczasem poszedł na stronę i czytał pilnie wręczony sobie list. — Musiał on zawierać pomyślne wiadomości, bo twarz Walentego wypogodziła się; — czasami spoglądał na Rejnholda uprzejmie, i coś sobie z cicha szeptał. Przeczytawszy list przystąpił z wypogodzonym czołem do od-

dawcy listu i rzekł: „Bardzo pomyślną przywiozłeś mi wiadomość. Już blisko rok temu jak żadnej nie miałem wiadomości o waszym wodzu, i cieszę się, że hrabię Wallenstejna poznaję teraz jako księcia Frydlandu. Jakże to dawno, jak Cesarz zaszczycił pana twego tym zacnym tytułem?”

„Będzie temu wnet miesiąc. — O wyprawach i walkach Księcia, pewnieć ojciec Walenty słyszał. Na czele trzydziestu tysięcy doświadczonego żołnierza, roznosił pomyślność broni cesarskiej po wszystkich niemal niemieckich państwach. Teraz oblega Stralsund, a ja ztamtąd wprost przybywam; oddawszy list księżnie w Pradze, pośpieszyłem tu dotąd, aby ze zlecenia księcia mego pana, wam oddać jego pismo. Jeżeli dacie jaką odpowiedź, rozkażcie, a ja zaczekam, aż takowa wygotowaną będzie.”

„Skoro wracasz wprost do Stralsundu, więc oświadczyć Księżciu mój najniższy ukłon, i zapewnić: że w wyznaczonym czasie będę niezawodnie z moim wychowawcą w Pradze; innej odpowiedzi tym czasem nie potrzeba. Jak mi twój pan donosi, postąpi sobie ze Stralsundem krótko i węzłowato,

oczem przybędzie do Pragi, gdzie przeto widzieć się będziem nie za długo.“

„Co do Stralzundu nie dzielę ja zdania tego pana: bo chociażśmy go od strony lądu tak osaczyli, że ledwie ptak dostać się doń zdoła, to za to zbywa nam na okrętach, żeby go opasać od strony morza, a tędy zostaje Stralzund żywność, amunicją i świeże wojska. Bo trzeba wam ojcze wiedzieć, że w tych oto dniach Duńczyk połączył się z Szwedem, a nowy szwedzki komendant w Stralzundzie, nie małego kłopotu nabawi cesarskiego naczelnika. Powiem wam tylko małą próbkę tego, jak to u nas idzie: ośm dni przed moim odjazdem siedział Książę ze swoimi jenerałami u stołu, w namiocie rozbitym na znaczném wzgórzu; ja stałem przed namiotem wsparty na szabli i przysłuchiwałem się temu, co panowie dosyć głośno mówili. Stralzundczyki przesyłali nam wprawdzie kulki, ale to nas mało interessowało, bo wszystkie padały u stóp wzgórza. Gdy Książę siedząc wśrodku stołu rozmawiał nadzwyczaj poufale, na raz odsunął się od stołu z krzesłem, wsparł się na niém, i grożąc ręką przeciwległemu

miastu odezwał się: „A ja wam moi panowie powiadam, że choćby to gniazdo łańcuchami do niebios przykute było, my je dostać musimy.“ Zaledwie ostatnie wyrzekł słowo, pada kula w jego bliskości, i w okamgnieniu przewraca stół, i wszystko, co na nim było, tłucze. — Trzeba tu było widzieć jak to wszyscy panowie porwali się ze swych krzesel, i stanęli jak wryci, sam tylko Książę chodził z założonemi na krzyż rękami, spokojny po namiocie. Ale miastu pokazał twarz, która mię przeraziła. — Trzeba przyznać, że nasz pan jest żołnierzem jakich rzadko znaleźć, ale ostrym co nie miara; zostawia on swoim jedynie wybór między posłuszeństwem albo szubienicą. Wobec jego posępnego oblicza drży każdy, począwszy od jenerała, aż do najniższego żołnierza. Ale z drugiej strony jest znów wspaniałomyślnym i szlachetnym; tylko w służbie nie ma żartu. — A teraz szanowny ojcze, Bogu was oddaję! — Za posiłek dziękuję wam serdecznie, i wierzcie mi, że mi u was lepiej smakowało niż w pałacu pragskim. Powietrze dworskie, psuje najlepsze żołądki.“ Po tych wyrazach wsiadł

na konia, pozdrowił jeszcze raz zostających, i popędził ku Pradze.

Rejnhold w czasie rozmowy z postem spoglądał z boku na swego dziadka, bo mu wiele rzeczy z ich zobopólnej rozmowy było niezrozumiałych, a dziadek zdawał się być jakoś tajemniczym; zgoła list od Wallenstejna zaostrzył jego ciekawość; gdy starzec, jak gdyby na większe umartwienie ciekawego, spokojnie uprzątał stół, i zdawał się nierozumieć badawczego oka swego wnuka.

— Ten zaś niespokojny zdjął lutnię ze ściany, uderzył kilka akordów — i powiesił ją znowu na dawne miejsce. Wziął potem do rąk książkę, i trzymając ją w ręku, czytał raczej w oczach dziadka, ażali nie zdarzy się coś w nich odkryć, niż w rozłożonej księdze. — Stary uważając to wszystko, nie mógł stłumić uśmiechu, który budziła ta niespokojna ciekawość; wziął wreszcie Rejnholda za rękę, siadł z nim na ławie przed chatą, i tak doń mówić począł:

„Nadszedł nakoniec czas, mój kochany Rejnholdzie, żeby ci odkryć rzeczy ważne, tyżące się twej przyszłości. — Niewinnie wzrosłeś pod moją opieką, mało dotąd za-

znałeś ludzi; cicha cela wśród przyjemnej doliny tworzyła twój świat. Staralem się oddalić cię od burzliwych zapędów świata, ażeby w zaciszu pustyni twoje serce i twój umysł gruntownie wykształcić. Uszczęśliwiłeś mię przez twoje wierne i staranne usiłowanie, odwdzięczając mi się twoją pilnością i gorliwością w przyjmowaniu dawanych ci nauk i pełnieniu moich rozkazów. Od dzieciństwa twego aż dotąd byłem powiernikiem twoich myśli i uczuć; widzę cię teraz ozdobionego przymiotami serca i umysłu w tym stopniu, że możesz odpowiednio twemu stanowi, stanąć na wielkim świecie i oprzeć się jego pokusom, przy Boskiej pomocy. A że to dzień dzisiejszy jest dniem zwrotu w twojem życiu, a wnet masz wstąpić w inne towarzystwo, przeto klęknij i odbierz ku temu moje błogosławieństwo.“

Reinhold ukląkł przed dziadkiem, schylił swą głowę, który położywszy na niej prawicę tak mówić począł: „Bóg wszechmocny niech cię strzeże i utrzymuje! — Jego ojcowska ręka niech tobą tak kieruje, i dodaje ci sił, ażebyś tak niewinnym i pobożnym pozostawał zawsze, jak byłeś dotąd, — to wy-

jedna ci błogosławieństwo Boże, miłość i szacunek uludzi. Wśród nieszczęść jesteś zrodzonym, około twój kolebki przesuwiał się Anioł śmierci; nie dopuścił Bóg, żeby cię ugodził, niech się nie spotka z tobą aż wtenczas, gdy głowa twoja śronem pokryta będzie, i niech przeniesie cię do wiecznej szczęśliwości okrytego cnotami. Błogosławieństwo twój matki spoczywa na tobie mój synu; przyświecało ono twój młodości, jak zorza zaranna. — Pozwól, że dziś zdejmę zasłonę, która kryła twoją przeszłość przed oczami twemi; poznaj dziś tego, którego ręka błogosławiąca ci spoczywa na głowie twojej. — Rejnholdzie podnieś twoją głowę, i spojrzysz w oczy twego przyjaciela. Nie mówi że ci przeczucie, że jestem ci daleko bliższym niż wszyscy, z którymi stałeś dotąd w jakichkolwiek stosunkach? — Tak jest, w oczach twoich, tem zwierciadle duszy twój, widzę co czujesz. O mój najdroższy chłopcze, daj się przycisnąć do serca ojca twój zmarłej matki.“

Na te słowa powstał młodzieniec żwawo, a ująwszy dziadka za szyję ścisnął go i całował, pieszcząc się i dając mu najtkliwsze

nazwy. Zdaje się, jak gdyby poczucie natury długo tłumione, na raz wybuchło z namiętnością, i w duchu jego roznieciło rozkosz najniewinniejszą.

Gdy to radosne rozburzenie cokolwiek się uśmierzyło, opowiedział mu brat Walenty (tę bowiem nazwę zastrzegł sobie na zawsze), — historią życia i śmierci jego matki; a choć to czynił z największą starannością, ażeby nie zrazić wrodzonej tkliwości, przecież nie obyło się bez rzewnych łez. — Gdy potem usłyszał Rejnhold że jego ojciec żyje, powstał żwawo i odrzekł: „O dziadku drogi! powiedz gdzie jest mój ojciec, żebym doń pospieszył! — Mówisz że nas szuka, i czemuż my nie kwapimy się żeby ukoić jego troski? — Powiadasz, że walczy przeciw nieprzyjaciółom ojczyzny azaż sądzisz, żebym nie był zdolny stanąć obok niego z bronią w rękę?”

W dumnej przy tych wyrazach postawie, stanął krzepki młodzieniec; oko zabłysło przekonaniem o swej sile, prawica wzniesiona, jakby piastowała miecz gotowy rozsiekać zuchwałego nieprzyjaciela. — Starzec uniesiony tak rycerską postawą młodzieńca, uczuł

w sobie tem większą radość, że takowe uczucia młodego wychowanka trafiły właśnie do planu, jaki względem dalszych losów jego ułożył.

Pochwycił Rejnholda za rękę i kazał mu usiąść przy sobie: „Pohamuj, mówił mu, twój zapal! — Zareczam ci, iż to wszystko czego sobie tak gorąco życzysz, nastąpi: zobaczysz i ojca twego i obok niego będziesz walczył: zgoła przyjdzie czas, gdzie się z nim nierozłącznie połączysz; ale to niemoże stać się tak żwawo, jak pragnie twoja porywczosć. Powinienesz wprzód, nim to wszystko nastąpi, nabrać zręczności w sztuce rycerskiej. Jesteś właśnie w porze wieku, gdzie trzeba ci uczyć się tego, co żołnierz umieć powinien; przeto posłuchaj moich zamiarów, jakie w tym względzie co do ciebie powziąłem; sądzę bowiem że jako uległy i rozsądny człowiek przyznasz stósowność moich postanowień. Oto nadchodzącej jesieni dojdiesz dziewiętnastego roku życia; wtenczas poprowadzę cię do Pragi, gdzie policzonym zostaniesz w gronopaziów Księcia Wallenstejna mego dawnego przyjaciela. Tam twój przyszły władca, który z przychylności ku mnie

tobą się zajmie, da ci nauczycieli sztuki rycerskiej; a gdy w przeciągu dwóch lat postępować będziesz z zadowoleniem księcia, poda ci sposobność, odznaczenia się pod okiem ojca twojego. — Pojmiesz to, że na ten czas twój ojciec z podwójnego względu dumnym będzie z takiego syna.“

Te uwagi zaspokoili Rejnholda, a lubo marzył już o przyszłym swym szczęściu, przecieź myśl, że opuścić będzie trzeba dotychczasowego swego przyjaciela, zasmuciła go. Zaspokoił ją dziad zapewnieniem, że nie zaniedba częściej go odwiedzać.

„Jak mi książę pisze, mówił dalej Walenty, będziesz zawsze przy jego boku, gdy w Pradze zamieszka. Pamiętajże być dlań pełen uszanowania na jakie mąż ten znakomity zasługuje. — Wallenstejn ponury i tajemny, nie dba o składne słowa, ale wymaga zawsze umiarkowanego męskiego postępowania. Co ci liczni dworacy mówić będą, rozważaj dobrze; a nigdy niepozwalaj sobie wyrokować o twym panu, bo toby cię zgubiło. — Wstąpisz do bardzo przykrzej szkoły, ale ja sądzę, że jesteś dosyć silnym abyś zniósł jej przykrości, mocna ufność w Bogu

najistotniej ci w tej mierze dopomoże. — Prócz ciebie ma książę sześćdziesiąt paziów, bo blask jego dworu przechodzi wspaniałość cesarską. — Niech cię świetność, w której żyć będziesz nie odurza; bądź zawsze skromnym, jak byłeś dotąd. Ten prosty ubiór, który teraz nosisz, zamienisz na świetniejszy; jedwabie i aksamity okrywać cię będą, a głowę twą okryje biret z szumnymi piórami; nie zapominajże nigdy, że najpiękniejsza ozdoba człowieka jest pobożność i pokora. Połysk światowy tak niknie, jak piękna barwa pól, gdy ją podmuch zimy owionie; ale piękność duszy pójdzie z tobą aż za grób.“ Rejnhold poślubił nigdy nie zhoczyć z tej drogi, na którą go dziadek nauką i przykładem naprowadził.

Na takich poważnych przygotowaniach zeszło lato; a skoro jesień coraz więcej poczęła огоłacać drzewa z ozdób, dnia pewnego pokwapił się ojciec Walenty z Rejnholdem do wsi, ażeby pożegnać Rejnholda z proboszczem i znajomymi. — Proboszczowi stanęły łzy w oczach, gdy wspomniał jak ten dziś tak nadobny młodzieniec, przed piętnastu laty leżał na łonie jego jako nie-

dołączone dziecko; z takowem rozczuleniem dał mu swe błogosławieństwo, błagając Boga, ażeby go nie wypuszczał ze swojej opieki na śliskiej drodze świata tego. Lud przyjazny tak ojcu Walentemu jak i Reinholdowi, odprowadził z serdecznemi życzeniami dla opuszczającego ich okolicę, aż daleko za wieś. — Z szczególniejszemi uczuciami przemarzył Reinhold ostatnią noc, na pustyni.

ROZDZIAŁ V.

Rejnhold na dworze Wallenstejna.

Pewnego dnia w jesieni roku 1630 stanęło przed pałacem Księcia Frydlandu w Pradze, dwóch podróżnych. Jeden z nich rostry, postawy słusznej i poważnej ubrany w długą suknię koloru ciemnego, jaką nosili zwykle w ów czas pielgrzymi; głowę miał nakrytą wielkim kapeluszem, w ręku kij; — drugi ubrany wykwiłtnie, jak zwykle pod ów czas szlachta, postępował obok pierwszego. — Z upodobaniem spoczywały oczy przechodzących na uprzejmym młodzieńcu, bo z twarzy i całej postaci jego wyglądało zdrowie, życie i ujmująca nadobność; — a obcisłe rycerskie odzienie, tak pięknie odpowiadało zgrabnej figurze. Z pod bireta ozdobionego powiewającemi piórami, lekko

na wierzchu głowy osadzonego, rozwijały się złote kędziory po ramionach, a niebieskie oko skromnie a badawczo błąkało się po nowych dlań przedmiotach.

Może czytelnik — domyśliwszy się, co to za podróżni, — zadziwi się dla czego Rejnhold tak przebrany występuje? — Ale mógłże on w ubiorze ubogim, jaki nosił na pustyni wystąpić na pałacu Księcia? — Ojciec Walenty, jakkolwiek był przekonany, że ubiór nie czyni człowieka, to przecież wiedział i to, że księcia uczyć należało odpowiedniemi stanowi młodzieńca wystąpieniem; a motłoch trzyma się zwyczajnie owego zdania: „jak cię widzą, tak cię piszą. — Nie próżność zatem, lecz zdrowy rozsądek nakazał taki ubiór dla Rejnholda.

W poważnej okazałości stał przed ich okiem pałac Frydlandczyka: sześć furt prowadziło do niego, a wszystkie były zamknięte; ulice zaś z nim stykające się były łańcuchami zawarte, żeby turkot powozów nie przerywał spokojności potrzebnej do namysłów księcia, którego głowa jedynie zdolną była odeprzeć niebezpieczeństwa ojczyźnie ze wsząd zagrażające. — Tylko

brzmiały ostrogą stąpania tu i owdzie sły-
sząć się dawały, zresztą powiedziałbyś, że
cała Praga w stronie pałacu powietrzem
wymarła. — Reinholda pierś ścisnęła ta cisza,
zwłaszcza gdy ją porównywał z owym ży-
ciem, jakie widział w poprzednio widzianych
częściach tego zaludnionego miasta; pustel-
nik pochwycił go za rękę, i wszedł średnią
bramą do pałacu.

Znaczna liczba służalców w barwach
Wallenstejna stała w przysionku prowadzą-
cym do głównych wschodów pałacowych.
Ze złotem powleczoneą laską suto galonowany
złóżbista wyszedł naprzeciw naszym znajo-
mym z galeryi, a dowiedziawszy się, że
z księciem mówić sobie życzą, wprowadził
ich po marmurowych wschodach do pałacu.
Reinhold miał sposobność w przechodzie,
choć pobieżnie tylko, przypatrzeć się prze-
pychowi, jaki panował w pałacu: drogie ma-
latury, złoto i srebro okrywały wszędzie
ściany, a przez malowane szyby w oknach
rzucało słońce wielobarwne promienie.

Żołnierze w pysznych zbrojach, — suto
złotem połyskujący urzędnicy, — spieszni
gońcy z depeszami, — roili się właśnie po

salonach, przez które nasi znajomi przechodzili. Wszystkich oczy zwracały się na idących, ale sam tylko młodzieniec zajmował swą nadobną postawą wzrok ciekawych, choć oni przywykli byli do rozmaitych zjawisk. Prowadzący ich marszałek, wyprzedził ich, aby zawiadomić księciu, i wrócił wnet zapewniająco ojcę Walentego, że wkrótce otrzyma posłuchanie, skoro książę zajęty w tej chwili, zakończy interes rozpoczęty.

Przed podwojami wiodącemi do izby księcia, stała znaczna liczba młodzieży, suto i pięknie przybranej, w wieku Rejnholda. Ojciec Walenty zapewnił go, iż to są jego przyszli koledzy, paziowie. — Popatrzył się na nich Rejnhold, i podobali mu się na oko; a Walenty zwrócił jego uwagę, na ich skromność i powagę. Zadne głośnie słowo nie przeszło przez ich usta, tak ich poskramiała bliskość pana. W tém otworzyły się podwoje, wielu panów w czerni ubranych, ozdobionych złotemi łańcuchami wyszło z posłuchania, i postępowało poważnie przez przedpokój. Ojciec Walenty dowiedział się na zapytanie, że to byli cesarscy radcy i posłowie, którzy bardzo ważne przywieźli

wiadomości, jak tego domyślać się trzeba było ztąd, że nadzwyczaj długo odbywała się narada. — Zaledwo ci radzcy rozeszli się, gdy podwoje znowu się otworzyły, i wyszedł niski, pochyły, siwowłosy starzec. Rejnhold byłby wziął te osobkę za lekarza, gdyby krój jego obszernego odzienia, okrywającego wyschłe członki, tak mistyczny i nadzwyczajny, nie był usuwał powziętego zdania, i nie pozostawił go w całkowitej niepewności. Właśnie chciał zapytać dziadka o objaśnienie, gdy ta dziwna figurka przysunęła się, i pustelnika w dobieranych wyrazach do księcia powołała: „Książę, rzekł nieznajomy, życzy sobie wprzód z wami szanowny ojciec mówić na osobności, i dał mi ten wielce przyjemny rozkaz zabawienia tymczasem, waszego nadobnego towarzysza. Przeto wejdźcie niebawem! Znajdziecie pana cokolwiek zasepionego, ale nie zrażajcie się, bo nie tai tego, jak wielce mu jest przyjemne wasze odwiedzenie.“ — Walenty wykonał rozkaz, wszedł, i drzwi za nim zamknęto. Ów tajemniczy człowiek wziął Rejnholda za rękę, poprowadził na stronę, iz ocukrowaną, wdzięczącą się minką, z ci-

cha tak się doń odezwał: „Witam cię paniczu z całego serca w domu Frydlandczyka, i cieszyć się będę mocno, gdy ci zdołam usłużyć radą i czynem. — Już my się poznamy z czasem bliżej, zwłaszcza gdy, jak mi książę mówił, bezpośrednio przy jego osobie zostawać będziesz. — Stary Seni poczyta to sobie za istotne szczęście, gdy zyskasz zaufanie Księcia, o czem mię twoja cała tak nadobna postawa zapewnia; godzien jesteś, żeby ci zaufał.“

Rejnholdowi było duszno w obec tego narzucającego mu się przyjaciela; na pochwałę jaką cotylko usłyszał, skłonił odurzony głowę. — Stary zaś zadowolniony skromnością, tak dalej prawił: „W twojej młodzieńczej twarzy leży bogata, szczęśliwa przyszłość; jej rysy schodzą się w gwiazdę szczęśliwości. — Rzucasz na mię ciekawy wzrok? — Tak jest, wierz staremu astrologowi Seni, który w gwiazdach rozlicznych firmamentu czyta; dla niego nie jest tajemnicą twarz niezsutego młodzieńca; a ona jest zwierciadłem duszy. — Przekonasz się, Zresztą będziemy sąsiadami, poznamy się lepiej. Tamta oto wieża, która cię pewnie swą szczególną

formą zajęła, jest to obserwatorium astronomiczne. Owo małe okienko kwiatami okryte, jest moją pracownią; twoje mieszkanie, będzie w prawém skrzydle pałacu, które się z wieżą styka. Jest taka wola Księcia, ażebyś w jego bliskości mieszkał, gdy inni pażowie, zamięszkują inną część pałacu, a tylko niektórzy czuwają przy nim w nocy. — Nad twoją stancją mieszka Księżna, z swemi pięknemi damami. Często bardzo słyszyć będziesz dźwięk arfy lub cytry, z zachwycającemi śpiewkami, które damy wykonywać będą; jeżeli jesteś znawcą muzyki, sprawi ci to nie jedną przyjemność — a nawet poleci cię księżnie, która jest wielką miłośnicą lutni.“

Rejnhold odrzekł na to, iż lubo gra na lutni i muzyka w ogóle nie jest mu obojętną, przecież nie posiada w tej mierze dostatecznej biegłości. — „No, no, to się znajdzie, gdy jest ochota, odpowiedział astronom. Książę trzyma dla swoich pażów biegłych nauczycieli, którzy ich doskonałą w rozmaitych naukach i sztukach; — Signor Bardello, twój przyszły mistrz muzyki, jestto gruntowny muzyk i doskonały mistrz, potrafi niezawodnie drze-

miący w uczeniu talent obudzić i wykształcić. Upредиło cię świetne świadectwo twego opiekuna: podług niego posiadasz piękny skarb wiadomości, a to jest wielką zaletą młodego człowieka, zwłaszcza w teraźniejszych czasach. Znajdziesz między piaziami księcia takich, którzy harcować rumaka, tańczyć dzielnie umieją, ale duch ich jest zupełnie ciemny.

„Jeżeli nie pogardzisz moją radą, będziesz się strzegł za wielkiej poufałości z ludźmi tego świata; obłuda i zdrada gnieźdzą się w nich, jak żmije w rozpadlinach skał. — Przypatrz się tylko twoim kolegom: gładkie twarzyczki, to prawda, skromnie i składnie stoją oto, ale bo czują pana w bliskości; ale niechno książę oddali się z domu, a ich jakąś część zostawi, — o, wtenczas zachowaj Boże każdego! — kłótnie, spory, przedrzeźniania, psoty, są ich całem zatrudnieniem, aż dopóki marszałek nie uśmierzy ich niesnasków. Nie przeczę, że i między nimi znajdzie się pocziwiec, ale trudno go wynaleźć. — Są to wszystko młodzi hrabiowie, barony, lekkomyślne młokosy. — Dawniej oddawano ich na dwór cesarski, ażeby tam

się do sztuki rycerskiej wprawiali; — odkąd zaś gwiazda Frydlandczyka poczęła jaśnieć, pragnie każdy panicz pod jego okiem wzrastać; i prawda, że tu jest dobra szkoła dla takich. Książę lubi przepych, nie żałuje nakładu, przeto miło mu jest widzieć około siebie zgromadzony kwiat szlachty; ale trzyma tych młokosów w karności, karze nawet występki surowo; przeto też gdy się oddali z pałacu, rady im dać nie można. Moja więc rada jest ta: bądź dla wszystkich grzecznym, ale ile tylko być może żyj dla siebie samego; — boć mimo największej ostrożności, dworskie życie ma swoje kolce: zmienne jak powietrze, raz wesołe, jak śliczny wiosenny poranek; inny raz przedstawia wichry, burze, słoty, aż do obrzydzenia.“

Rejnholda twarz na te smutne przepowiednie zasępiła się mimowolnie; co gdy mówca spostrzegł, dodał: „O! przed czasem nie trwóż się, bo ja myślę, że mając dobre zasady przez ojca Walentego ci podane, będziesz umiał uniknąć wiele nieprzyjemności a gdy mimo to przyjdą, zniesiesz je mężnie! Nie chciałem cię przestraszyć moją przepowiednią, lecz uwiadomić, iżby to co cię spot-

ka, nie spotkało cię niespodzianie i bez przysposobienia.

Właśnie chciał Rejnhold podziękować astronomowi za dane sobie zdrowe rady, choć nie mógł ich pogodzić z chytrą jego miną; gdy wezwany został przed księcia. Wzruszyło go to wezwanie; trabant otworzył podwoje, młodzieniec wszedł skromnie do salonu, czterema wielkimi oknami oświeconego, okazale aż do zbytku ozdobionego. Przy długim, ciemnoczerwonym, aksamitem pokrytym stole, siedział rosły chudy mąż; powagę wyrażała jego żółkła twarz i iskrzące się małe oczy; krótko przycięte rudawe włosy pokrywał obszerny hiszpański kapelusz z rozpuszczonem piórem; ubrany był w ciemny aksamitny wams, ozdobny złotemi łańcuchami i orderami; rozpierał się w złotem krześle, na którego poręczy rozwieszony był krótki, suto hermelinami posyty płaszczyk. Rzucił na przychodzącego wzrok długi, badawczy.

Był to Wallenstein, — obok niego stał ojciec Walenty, ośmielając skromnego młodzieńca przyjacielskim uśmiechem. — Głębali wypełniali znamienici dworacy i celniejsi

oficerowie, z uszanowaniem czekający na skinienie naczelnika.

Rejnhold skłonił się głęboko przed księciem, widocznie zajęтым świeżością swego nowego sługi, jakoż przypatrzywszy mu się jakiś czas z zadowoleniem, szepnął coś po-ufale Walentemu. Po czem powstał z łaskawym skłonieniem głowy, szybkim postąpił krokiem ku młodzieńcowi, i tak z uprzejmością odezwał się do niego: „Witajże synu mego przyjaciela! Jesteś mi gorąco polecony, i spodziewam się, iż z ciebie zrobię dzielnego męża, jak skoro znajdę u ciebie toż samo zaufanie, jakie posiada twój ojciec.— Chcę ażebyś od jutra rozpoczął czas twój służby; będziesz zawsze przy moim boku w pałacu, równie jak w polu. — Będzie to stósowne, że wystąpisz pod obcym imieniem, a przeto nosić odtąd będziesz nazwę Rejnhold z Lewenrode. O twojem urodzeniu i stanie zakazuję ci mówić, aż do czasu, gdy ten rozkaz odwołam.“ — Przerwał tu książę danym trabantowi rozkazem, ażeby przywołał marszałka paziów.

W parę minut stanął mały dobroduszny mężczyzna z uszanowaniem przed swym pa-

nem. Książę lekkim poruszeniem ręki wskazał mu młodzieńca i mówił: „Widzisz tu, markizie młodego hrabię Lewenrode z Czech, który jako paź wstąpił do służby.— Postanowiłem właśnie, ażeby w mej bliskości miał pomieszkание; wyznaczę mu takowe natychmiast i dołożę starania, aby ten młody człowiek do jutra odebrał informację w tém, co paź księcia Frydlandu wiedzieć powinien.— Zalecam ci szczególniejszą pieczołowitość nad nim, zwłaszcza że mi jest szczególnie poleconym. Zarazem rozporządź to, co do jego wyekwipowania jest potrzebne.“ Skłoniwszy się marszałek zapewnił, że wszystko skrzętnie wykonane zostanie; a ojciec Walenty wraz z Rejnholdem z szczególną łaskawością pożegnani wyszli z marszałkiem.

Marszałek będąc świadkiem, jak Książę łaskawie odprawił Rejnholda jako przebiegły dworak, usiłował pozyskać zaufanie młodzieńca; przeto z szczególniejszą uprzejmością przyczepił się do niego, gdy wyszli z salonu. Skwapliwie przywołał do siebie sługę, nakazał mu uprzedzić siebie spieszenie i otworzyć nowo uporządkowane pokoje na wielkim przysionku; sam zaś prowadził to-

warzyszów swych pomiędzy dwoma szeregi halabardzistów, którzy przed tak ważną osobą broń prezentowali. Wyszli na dziedzieniec, a marszałek odezwał się uprzejmie: „Sądzę iż wam szanowny młodzieńcze i waszemu wielebnemu towarzyszowi będzie przyjemnie, że tymczasem nim pokoje w miarę godności przyrządzone zostaną, obznajmie was z miejscowością pałacu. Wprawdzie dziś wypada ograniczyć się na pewną część tylko bo się wieczór zbliża; wszakże wejdźmy przynajmniej do wielkiej sali, zamtąd będzie nam po drodze do waszych pokojów.“ — To mówiąc prowadził ich przez dziedzieniec wprost ku rzeczonej sali, odznaczając się wielkimi sztucznie robionymi oknami; stanąwszy przed głównymi drzwiami, zadzwonił, a natychmiast wyszedł z wielkiem uszanowaniem, witając przybyłych odźwierny. „Otwórz wielką salę“ — rozkazał markiz. Pochwycił odźwierny wielki pęk kluczy, i uprzedził ich po szerokich wschodach do rzeczonej prowadzących sali.

Jeżeli ich świetność części pałacu, którą dotąd widzieli słusznie dziwiła, to okazałość sali do której weszli wprowadziła ich we wi-

doczne osłupienie. Przez liczne i wysokie, sztucznie z kolorowego szkła złożone okna, padały promienie zachodzącego słońca na posadzkę, farbując ją w sposób nie do opisania. Ściany i sufit miały obicia z drzewa, na którym najgustowniejsze rzeźby wyrabiane były, suto złożeniem upiększone.— Osobliwie zaś sufit odznaczał się doskonałemi malaturami. Po ścianach porozwieszane były obrazy familijne księcia, a na przeciw drzwi wisiał jego własny portret doskonale trafiony.— Marszałek i ojciec Walenty tłumaczyli podziwiającemu wszystko Rejnholdowi, znaczenie rozmaitych herbów i znaków, zdobiących filary i galerye. Przy téj sposobności rozwinął ojciec Walenty tak obfitą znajomość heraldyki, że marszałek zdziwiony na przemian to jego osobę, to jego habit oczyma mierzył, i nie mógł wreszcie stłumić w sobie ciekawości: zkąd mu tak wielka i szczegółowa znajomość rzeczy. — „Ha szlachetny Panie! — odrzekł pustelnik — wiadomo wam że to duch człowieka ma rozmaite zdolności i przywidzenia; ja na mojej pustyni po zwykłych pustelnika zatrudnieniach, znalazłem niejakiś smak i rozrywkę w heraldyce. Tymto

sposobem, są mi wszystkie czeskie familie należycie znajome.“ Zadowolniony tą odpowiedzią Markiz, zapytał czyby nie życzyli sobie udać się na pokoje dla Rejnholda przeznaczone, dodając że spodziewa się, iż pułstelnik zechce przenocować w pałacu, ile że ku temu celowi rozkazał już przygotować pokój tuż przy mieszkaniu Rejnholda. Przyjął to wdzięcznie Walenty, zwłaszcza że wiele miał jeszcze powiedzieć swemu ulubieńcowi co do przyszłego jego zachowania się na dworze Księcia.

Przebiegłszy długi kurytarz Marszałek, stanął w obszernym przysionku, a wskazując na szeroką galeryę, w której służbowi oficerowie, trabanci i hajducy w milczeniu uwijali się powiedział, że to jest przyboczny wchód do pokoi księcia: „Tu zaś, dodał grzecznie zwracając mowę do Rejnholda, tu paniczu jest twoje mieszkanie.“ — Pochwycił obu towarzyszków za ręce i wprowadził otworem stojącymi podwojami do pięknej bardzo izby. Taż była ciemnoczerwonym aksamitem obita, oświetlona jarzącymi świecami w lichtarzach złożonych; na kominku z białego marmuru paliło się drzewo dając

przyjemne ciepło i odbijając swe światło o meble z drzewa zagranicznego z przepychem robione. — Młodzieniec przyjemnie uderzony tym widokiem okazał swe ukontentowanie z przeznaczonego dla siebie pomieszkania, i podziękował najgrzeczniej marszałkowi za uprzejmość, a księciu za szczególniejsze względy. — Poczem pożegnał ich ten urzędnik zapewniając, iż odchodzi, aby im kazać przynieść wicherzę.

Pozostali oba tylko, Walenty z Rejnholdem; stary wpatrywał się chwilę w młodzieńca, po tém tak się do niego odezwał: „Teraz Rejnholdzie opowiedz mi, jakie to wszystko, coś dziś widział, uczyniło na ciebie wrażenie? Ja myślę że ta wspaniałość dworu Książęcego, te obroty, te zachody dworu, ciebie wychowanego w ubogiej celi nie osobiłwie przyjaźnie dotknęły. Spodziewam się po tobie, że wśród tego światowego życia, utrzymasz się w granicach poczciwości i pobożności. — Rejnholdzie! synu kochany! nie zapominaj nigdy o tych naukach i przestrobach, które ci dawałem; bądź stale wiernym prawdzie, z którą cię zaznajomiłem. Twoje serce i twój umysł są należycie ubo-

gacone, są przysposobione do pojęcia i pokochania tego wszystkiego, co jest w istocie piękném i wzniosłym; niechże z sobą zabiorę tę pewność, że na drodze cnoty bez zachwiania się postępować będziesz. — Pamiętaj na twego ojca, który ciebie, syna swego z niecierpliwością szuka! Pamiętaj na zmarłą matkę, ten wzór cnot pięknych! i bądź pewnym, że tylko w tobie jako cnotliwym upodobanie mieć mogą! — Bądź stałym i mężnym w cnocie! — Każdego poranku i wieczora modlić się za ciebie będę, polecając cię Bogu, ażeby cię oświecał i strzegł w nowym twoim zawodzie, żeby ci dodawał siły, iżbyś pokusy świata mężnie i odważnie odpierał. — Na moje życzenie nakazuje ci książę żyć pod obcym nazwiskiem, nie wydawajże nigdy twego własnego, jest to potrzebne dla własnego twego dobra. — Czasami będę cię odwiedzał, ażeby się naocznie przekonać, jak ci idzie, i czy będziesz zawsze do mnie równie przywiązany. — Jak ci już powiedziałem, zarządza Książę moimi znakomitami dobrami, które prócz Worozdynu posiadam, na rzecz twoją, jako mego jedyne go dziedzica; bo moja staran-

ność zmierzała z dawna do tego celu, żeby ci zapewnić stanowisko w świecie odpowiednie twemu stanowi. Gdy ci kiedyś pełnoletniemu dobra te oddane zostaną, używaj ich tak, iżbym i w tym względzie poszczycić się mógł, że korzystałeś z nauki, jaką ci wpoilem.“

„Bolesna jest, rozłączyć się z tobą!—Sam jeden zamieszkiwać będę moją odosobnioną chatkę; smutne doświadczenia mego życia, odzywać się będą w pamięci, a nie będzie ciebie, któryś dotąd przytomnością twoją rozpędzał smutne chwile życia mego. Wierz mi, zniosę to wszystko cierpliwie, skoro będę mógł mieć to przekonanie, że cię wykształciłem na męża czci godnego—i to przekonanie będzie moją jedyną pociechą, której mi ty, spodziewam się, nie odmówisz.“

Starzec ścisnął z uniesieniem młodzieńca, który ze łzami przyrzekł najświęciej, że nigdy nie zboczy z drogi mu wskazanej i będzie godnym jego nauk synem.

Po ukojeniu wzajemnych uczuć, przystąpił Walenty do oglądania znajdujących się w mieszkaniu potrzeb dla Rejnholda; były to wszystko rzeczy sprawione z dochodów ad-

ministracyi dóbr jego. — W skrzyniach była złożona najpiękniejsza bielizna rozmaitego rodzaju; — w szafach bogate ubiory, złote łańcuchy, pióra do biretów, i zgoła to wszystko, cokolwiek odznaczać mogło majątnego młodzieńca na rycerza wy kierować się mającego, było i w należytych dostatkach i świetnie; — nawet lutnia wisząca nad wezgłowiem łóżka na sznurze, złotem przeplatany była osobliwszej piękności. Starzec zwrócił Rejnholda uwagę na damasceńską szablę, wówczas wielkiej ceny. Pochwycił ją młodzian z radością, wyjął z pochew i wyczytał na niej wyrazy: „Za Boga i ojczyznę.“ — „Piękne godło! — odrzekł młodzieniec — będzie mi nieodstępnie, wszędzie i zawsze na myśli!“

Wejście sługi dla przygotowania stołu, przerwało ciąg dalszy rozmowy. Po miernym zasileniu się wieczerzą, siedli obydwaj przy kominku i rozmawiali o rozmaitych przedmiotach, aż gdy zegar zamkowy ogłosiwszy północ, nakazał udać się na spoczynek. Rejnhold, któremu rozmaite po głowie snuły się myśli, późno bardzo zasnął snem twardym.

ROZDZIAŁ VI.

Pustelnik rozłącza się z Rejnholdem.

Skoro się Rejnhold obudził na drugi dzień ze snu, rzucił wzrokiem najpierw na posłanie dziadka swego, myślą jego było obudzić go serdecznem pocałowaniem. Lecz jakże się zafrasował, gdy znalazł posłanie opróżnione, i mniemał że on go bez pożegnania opuścił. Nie pomylił się w swoich domysłach, bo gdy się obejrzał po izbie znalazł złożony na stole marmurowym bilet jego ręką pisany, następującej treści:

„Najmilszy mój wnuku! Ażeby tobie i sobie oszczędzić bolesnego pożegnania, gdyś słodko spoczywał skreśliłem te wyrazy. — Rozłączenie się z tobą jest dla mnie bardzo bolesne, ale żegnam cię z tą pewnością, że moim naukom i przestrogom pozostaniesz

wiernym, i to mię pociesza. — Postępuj w twym nowym zawodzie mężnie, ażebyś, gdy stósowny czas nadejdzie, mógł cię nieskalanego i uczciwego oddać ojcu twemu. Bądź szczęśliwy, mój drogi wnuku, i pamiętaj z stałą miłością o twoim kochającym cię szczerze dziadku.“

Rejnhold zalał się łzami, — bo pierwszy raz w życiu uczuł się opuszczonym, samotnym. Skutkiem boleści serca ukląkł i tak się modlił: „Boże wielki, dobry nasz Ojcze! Zechcij mię przyjąć w Twoję świętą opiekę, ażebyś w bojaźni Twojej postępował sobie wśród niestateczności życia tego ziemskiego; dodawaj mi mocy wiary, któraby mię podtrzymywała wśród zamętów nieszczęść i trosków, i zachowała serce moje od próżności i pychy świata tego. — Rzuć także łaskawe oko na mego opiekuna który mię wychował, ażebyś mi go raczył w długie zachować lata. Błogosław także mojemu ojcu, ktoremuś raczył powrócić światło rozumu, i który z utęsknieniem szuka syna swego; spraw nam łaskawie radość znalezienia się wzajemnego!“

„Amen“ — dał się słyszeć głos poważny za klęczącym Rejnholdem. — Powstał śpie-

sznie i spostrzegł samego Wallenstejna. — Położył on rękę swą na ramię zmieszanego młodzieńca z oznaką przychylności i mówił: „Ty posiadasz widzę mocną i żywą wiarę w Rządcę Najwyższego; dochowaj jej wier- nie, bo to nie oceniona jest rzecz, to zau- fanie w rządach najwyższych! — Chciałem się osobiście przekonać, czy tu urządzono ci pomieszkanie tak, jak rozkazałem. Czy je- steś zadowolnionym z twojego pomieszka- nia?“ — Rejnhold wyraził najczulszą po- dziękę za wyświadczoną sobie w tej mierze łaskę; a Książę odrzekł: „To dobrze! — Ale, gdzież jest twój dziadek? Myślą moją jest prosić go, ażeby z parę dni zabawił w domu swego dawnego przyjaciela, a on podobno odszedł bez pożegnania?“ — Rejnhold po- dał księciu bilet pożegnawczy, który gdy go przeczytał, oddał z nadmienieniem: „No, gdy tak, nie biorę mu za złe; słuszne miał powody. — Za godzinę będziesz w moim gabinecie; — naradzimy się tam z Senim względem twego teraźniejszego położenia.“ Właściwym sobie szybkim krokiem wy- szedł Książę ze stancyi, a Rejnhold pozostał w zadumaniu nad tém odwidzeniem. —

Przerwał w końcu dumanie, aby się ubrać stósownie do służby. Gdy się namyslał, w jakimby ubiorze miał się stawić przed Księciem, wszedł właśnie marszałek i rozwiązał wszelką wątpliwość, nakazawszy ubrać się w uniform pazia, który że był Rejnholdowi jeszcze obcy, przeto przysłał mu sługę do ubierania, który też już na zawsze pozostał do usług jego. — Smagły jak łania, w karmazynowym obcisłym wamsie, suto złotem ozdobnym, stał piękny młodzieniec; na koronkowym szerokim kołnierzu szyję obwodzącym, rozpościerały się piękne kędziory, ozdoba nadobnej głowy; pas w farbach Walenstejna przepasywał biodra jego. — Tak ubranego Rejnholda, przyjął książę w swym gabinecie z widoczném zadowoleniem, i z Senim ułożył plan nauk, i wyznaczył zdatnych mistrzów w każdym przedmiocie naukowym. Zaraz następującego dnia począł się młodzieniec z całą gorliwością do nauk przykładać — i nie dziw że po dosyć krótkim czasie, przez który czerpał wiadomości od znakomitych mistrzów, do podziwienia w naukach postąpił. Wszyscy mistrze jednomyślnie uwielbiali jego pilność,

ciekawość w zgłębianiu przedmiotu, skromność, i nienaganność w obyczajach. Podobneż postępy czynił w gimnastyce, posiadając w téj mierze przyrodzoną zręczność; jego zdrowe, żadną chorobą nie wycieńczone ciało, w niczem nie hamowało podobnych ćwiczeń, owszem nabierało przez takowe nowych sił i zręczności. — Dużo tak pięknym postępowaniem ucieszony Książę, z dniem każdym stawał się przychylniejszym dla niego. Ten mąż mało komu przystępny, dumny, zimny, zdawał się być innym, gdy Rejnhold przy nim się znajdował. Bywało, że jak niegdyś Dawid rozpędzał swém graniem ponurość Saula: tak Walenstejn rozweselał się, gdy siedzący u nóg jego Rejnhold do swych śpiewów wtórował na lutni. — Sławny podówczas muzyk Bardello, znalazłszy w młodzieńcu rzeczywisty talent muzyczny i głos ujmujący, nie żałował starania i sztuki, żeby go należycie wydoskonalić. Nauczył go pieśni wojennych, które wielce podobaly się Księżciu; podczas takowych śpiewów rycerz ten wieku swego, zdawał się być zupełnie zmienionym — uprzytomniać sobie zwycięstwa; a gdy Rejnhold skończył,

odbierał pochwały, które ducha jego unosiły i zagrzewały do coraz większych postępów, bo zepsuć dobrze ugruntowanego w zasadach moralności nie mogły.

Pewnego dnia odebrał Rejnhold rozkaz udania się wieczorem z lutnią na pokoje księżnej; był on już poprzednio przedstawiony téj pani, która go bardzo grzecznie przyjęła; jak przepowiedział Seni, przyjęła zapewnienie, że młodzieniec gra dobrze, z zadowoleniem i życzyła sobie słyszeć grającego.

„A to pewno dziś odbędziesz popis przed księżną — pomyślał sobie Rejnhold. Gdy wybiła przeznaczona godzina zdjął lutnie ze ściany, przewiesił na złotym sznurze przez siebie, i szedł ku pokojom swéj pani. Jakoś mu szczególniej duszno było w piersi, serce pukało tém żwawiej im więcej zbliżał się do przeznaczonego miejsca, wiedział bowiem, że dwór księżnej składają najpierwsze magnatki całych Czech; — ta nowość mięszała go tak dalece, że wołałby był popisywać się przed samym Księciem. Czy wiedział, że kobiety są wybredniejsze w krytykowaniu podobnych popisów muzycznych

niż mężczyźni? — Ja tego nie wiem, to tylko wiem, że naganiając swoją bojaźń, mówił sam do siebie: „Cożeś też ty za tchórz! gdy przed księciem, który przeraża całe Niemcy stawasz bez najmniejszego wzruszenia, to kobiety trwożyć cię będą? — To nie po rycersku!” — i z pośpiechem odezwał się do odzwierne go: „Opowiedz JPanu podchorążego Lewenrode.” — Służący wszedł do sali, i niebawnie otworzył Rejnholdowi podwoje.

W salonie przepysznie ozdobionym siedział książę i księżna na czerwono obitych krzesłach, wśród grona złożonego z wyboru pań i panów w stroje galowe ubranych Rejnhold skłonił się pokornie księstwu. — Książę postąpił naprzeciw niemu i uprzejmie odezwał się do niego: „Cóż ty na to Rejnholdzie, że cię zawezwałem w to grono pań ażeby oddały hołd twojemu talentowi? — Księżna dowiedziała się, że hrabia Lewenrode, nie tylko w rycerskiej sztuce jest biegłym, ale że jest i mistrzem na lutni, wypadało przeto zadowolnić ciekawość.”

Młodzieniec zarumienił się na taką pochwałę, ukłon oddał za podziękowanie, i

siadł na wskazanym sobie taborecie. — Czaru-
jące w istocie tony wydobywał z swego
instrumentu; — pieśń po pieśni następowa-
ła składające wyborną całość, a nieśmia-
łość tem więcej pierzchała, im rzęsisz-
cie odbierał oklaski.

Kto zna śpiewy tak zwanych Trubadurów
i Mistrzów śpiewu z średniego wieku, ten
bez wątpienia lubuje sobie w ich duchu nie-
winnym, którym oddychają, Rejnhold wy-
brał sobie i przyswoił z takich pieśni naj-
piękniejsze, a oddawał je z czułością. Gdy
zakończył śpiewem do gwiazd zwróconym,
skierowała doń księżna swój głos łagodny
i rzekła: „Zbliź się hr. Lewenrode, i od-
bierz z rąk moich dzięk w imieniu dam dworu
księcia Frydlandu.“ — Rejnhold zbliżywszy
się do księżnej zgiął kolano, a ona odebra-
wszy z rąk najbliższej damy złoty łańcuch,
zawiesiła go na jego szyi i rzekła: „Temi
więzy mianuję cię hrabio Lewenrode min-
strelem naszego dworu — i spodziewam się,
że czasem wolne od służby godziny zechcesz
poświęcić nam, racząc nas twoim pięknym
talentem.“

„Otóż Rejnholdzie, dodał książę, widzisz,

jako damy umieją wiązać! — Potwierdzam zamianowanie księżnej, ale z tem zastrzeżeniem, że i mnie będzie wolno być w gronie słuchających śpiewy twoje. — Nie dziękuj, boś na ten klejnot zasłużył. — A teraz pożegnajmy się, i pójdź ze mną do mojej sypialni.“

Lekkiem schyleniem głowy pożegnał Walenstejn grono dam, Reinhold zaś skłonił się z uszanowaniem księżnej i dworowi, i szedł za księciem, który dziś był w świetnym humorze. Długo on jeszcze rozmawiał poufnie z swym paziem podczas rozbierania się, a między innemi powiedział: „Wiesz ty już, że twój ojciec hr. Hildenhorst posunięty został na stopień pułkownika? Odznaczył się pod Stralzundem w mojej obecności, i gdy ja tu z Cesarzem w pewnych sprawach układam się — on w rozmaitych potrzebach pięknie się popisował; przeto kazałem wygotować dla niego patent na Pułkownika, i darowałem mu pałac w moim księstwie. — Jeżeli Bóg pozwoli, nie upłyne rok, a ty się z nim połączysz na zawsze.“

Reinhold wzruszony podziękował księciu, i wrócił do swój komnaty.



ROZDZIAŁ VII.

Wyprawa Rejnholda w bory czeskie.

Rejnhold stał przed podwojami książęcego gabinetu z cicha rozmawiając z kolegami; — „Wiesz już, mówili mu, że książę wpadł w niełaskę u Cesarza, i naczelnictwo mu zostało odebrane?“ —

„A z kążebym miał o tem wiedzieć? — Wracam właśnie z Pilzy, z pismem od tamtejszego rządcy odwodowego, które natychmiast mam wręczyć księciu.“

„Możesz długo czekać na posłuchanie; są u niego właśnie trzej radcy cesarscy, kilku wojskowych wysokiego stopnia i dygnitarze dworuksiążęcego; już dwie godziny radzą, niewiadomoby nam było o czem, gdyby świta posłów cesarskich nie napomknęła nam, że tu idzie

o złożenie księcia z urzędu. — Jestto twardy orzech dla dumy Frydlandczyka! Nie prawda?„

„Moi kochani koledzy, nam nie przystoi o tém sądzić, — a tém mniej pokazywać jakieś ukontentowanie z nieprzyjemności spotykających naszego pana.“

„Prawda, prawda, tak musi mówić ten, który stoi w szczególniejszych łaskach u swego Pana; on cię zujmą kolegów odznacza. — Musi to mieć jakąś osobliwszą przyczynę, bo to coś nadzwyczajnego u księcia.“

„Ale nie sądz, iż to zazdrość mówi. — Nie! my nie umiemy się tak upokarzać jak hrabia Lewenrode, o którym wie każdy, że znalazł się gdzieś tam z końca świata, ze swoim pustelnikiem.“

Rejnhold zadrżał z gniewu na takie mowy, zarumienił się i mechanicznie schwycił za rękojeść swjej szabli; — lecz w krótkce opłonawszy odrzekł z zimną krwią: Myślcie jak wam się widzi, — gadania wasze płyną z bardzo brudnego źródła; mnie daje sumienie świadectwo, iż pełnię moje obowiązki. — Jeżeli zaś który z kolegów sądzi się być odemnie obrażonym, niech wystąpi i żąda zadosyćuczynienia winném miejscu, jak pod

drzwiami pokoju książęcego, — ja mu służę, w jakikolwiek sposób zażąda!“

Z szlachetną powagą wymówiwszy te słowa oddalił się od kolegów, i stanął na osobném miejscu; — oni zaś zamilkli, bo wiedzieli, że Rejnhold dokładnie umie robić broń.

W tym momencie wyszli radcy ze sali, książę towarzyszył im przez przedpokój zimną grzecznością i mówił: „Zapewnijcie Jego Cesarską Mość — że go niegodziwie oszukano; Frydlandczyk do tej chwili jest jego najwierniejszym poddanym; nawet oddalone-mu, odebrane od Cesarza łaski, będą wawrzynami jego zwycięstw.“ To wyrzekłszy wracał z powagą królewską do salonu.

Po jakimś czasie zawezwał książę Rejnholda do siebie. Rejnhold wszedł i zastał go stojącego przy oknie, wspartego na krześle, mającego zatopiony wzrok w pargaminową zwitkę. Obrażona duma, i gotująca się w sercu zemsta, wyraźnie malowały się na jego twarzy. — Nie uważał nawet, że paż wszedł do sali. „Tożem ja zasłużył, że po tylu poświęceniach, tylu pracach i zyskach na korzyść Cesarza, postępuje ze mną jak

z żakiem, który zapomniał swego zadania! — Oszukano go; a ja wiem z kąd ten wichur powstał. Nie cieszcie się, żeście Frydlandczyka skrępowali jak silnego lwa, bo moja gwiazda jeszcze nie zagaśła; wnet wróci buława do rąk tego, który ją w dwudziestu walnych bitwach piastował z honorem; stary, doświadczony żołnierz, zgromadzi się pod rozkazy zwycięskiego wodza, a ja go poprowadzę do zwycięstw.... Cóż chcesz Reinholdzie? — A prawda, wezwałem cię. Wracasz z Pilzy, i cóż z tamtąd przywiozłeś? —

Paź oddał list. Walenstein rozpieczętował go; — przy czytaniu zapaliła się gniewem twarz jego, tupnął nogą i rzekł: „Niegodziwi hultaje! podczas gdy w całych Niemczech stawia mąż przeciw mężowi, te łotry łupią i odzierają spokojnych obywateli, i to tylko o dzień drogi od mojej rezydencji! — Ale ja ich nauczę! — Słuchaj co ci rozkażę; chociaż nie jestem już naczelnikiem, to przecież wskażę ci, gdzie masz zasłużyć sobie rycerską ostrogę. W prawdzie jesteś jeszcze młodym, ale w tobie żyje duch i odwaga, sądzę przeto, że jesteś zdolny wykonać świetną próbę. Cel jest szlachetny, bo idzie o

zapewnienie spokojności obywatelowi i ziemianinowi, o ocalenie bezbronnego z rąk najezdźcy i rozbójnika. Powiedz, czy można w szlachetniejszej sprawie wystąpić z bronią w rękę?“

„Dziękuję waszej Wysokości za przychyłność — odrzekł młodzieniec — a Bóg dopomoże szczęśliwie wywiązać się ze zlecenia; albo ja padnę chwalebną ofiarą za prawdę i sprawiedliwość. — Słucham przeto rozkazu.“

„Oto jutro rano, wyjedziesz w trzydzieści koni do Pilzy, i oddasz rządcy obwodowemu pismo, które niezwłocznie wygotowane zostanie. Rządca da ci rozkaz wkroczenia na czele twoich podkomendnych w hory czeskie; tam znajdziesz zwierzynę, za którą uganiać się będziesz. Banda zbiegłych żołnierzy, z czterdziestu złożona ludzi, broi zbrodnie w nieprzystępnych wąwozach borów tamtejszych; żaden pielgrzym, żadna familia, nawet przytułki spokojności, klasztory nie są przed nimi bezpieczne; palą, zabijają, rabują. Ich naczelnik Bazyli Koleski, trapi tą bandą łotrów kraj nieszczęśliwy. — Gdziekolwiek pochwycisz którego z tych rozbój-

ników, natychmiast każ wieszać; — samego tylko naczelnika masz mi żywego przystawić, ażeby świat wiedział, jak Frydlandczyk karze rozbójników. — Idź przygotować się do wyprawy; — a w walce nie bądź zuchwałym; umiarkowanie zdoła wojaka, gdy zbyt odważa się na sprawę zepsuć może.“

Jak tylko dzień poczęło, stanął Rejnhold w świetnej zbroi na czele swego hufca, w dziedzińcu zamkowym; byłito wszystko starzy żołnierze Wallenstejna, którym miał przewodniczyć, dumni tylu odbytemi walkami, noszący na ciele blizny dowodzące, że nie zwykli uciekać przed nieprzyjacielem, lecz mężnie stawiać mu czoło. — Wyszedł z pałacu książę, a gdy go przywitano po żołniersku odrzekł: Dzień dobry, Frydlandczy! — długoście odpoczywali, że wam pewno tęskno za nieprzyjacielem; przeto daję wam zatrudnienie. Pokażcie, jak zawsze, iżeście godni mojego nazwiska. Stawiam wam na czele hrabię Lewenrode, który pierwsze swe rycerskie dzieło ma wykonać; pokażcie mu, jak Wallenstejna żołnierze walczyć zwykli. Jest waszym dowódcą, bądź-

cie mu posłuszni, jak gdyby mnie samemu.
— Tu oto masz Rejnholdzie pismo do Pilzy;
— jedźcież więc z Bogiem!“

„Naprzód, marsz!“ zawołał dowódzca,
i przy wesołym trąb odgłosie ruszył poczet
ku miejscu przeznaczenia swego.

ROZDZIAŁ VIII.

Młyn rozbójniczy.

Posępny obłok wisiał nad górami, które jakoby szeroki pas odgraniczają Czechy. Przez wilgotną mgłę leżącą nad borami i wąwozami, błysnął czasami tu i owdzie promień słońca, ale go natychmiast przemogły wyziewy, a posępność nie ustawała.

W jednej dolinie borów czeskich, otoczonej górami, przy opustoszałym starym młynie, leżało kilkadziesiąt obdartych towarzyszków przy ognisku. Obok nich szumiał strumień przez rozwalony młyn, którego połamane koła pędem wody czasami poruszały się. Jakby jaki kościotrup wyglądała ta budowla, bez dachu i okien; a wiatr mając wolny przełot to świstał to wył straszliwie. Był to tak nazwany młyn rozbójniczy, który każdy prze-

chodzień z daleka mijał; a za to służył bandzie rozbójników za główną kwaterę, z której na okolicę rozpościerała swe nieczne napady. Przeróżające stare powieści o tym młynie, chodzące z ust do ust wieśniaków, nabierały wiarogodności, przez to co w świeższym czasie przy młynie tym widziano i słyszano. Zbłąkany podróżny, który późno w noc przechodził około tego młyna, widział powszechnie więcej jak w istocie widzieć można było, bo przerażona strachem wyobraźnia z myszy tworzy jelenia; — a opowiadał jeszcze więcej, jak w istocie widział, boć to ludzie nie zwykli trzymać się ściśle prawdy, a osobliwie gdzie idzie o przechwałki. Opowiadali więc ci zbłąkani przechodnie, jak koła tego młyna, choć popsute, obracały pryskając na wsze strony iskrami, a pytel kołatał jak szalony; — że cały dom stał w ogniu, a z okien wychodziły płomienie czerwone i dym piekielny; że słyszeli przerażające krzyki, okropne śpiewy, przekleństwa; — zgoła malowali ten młyn w kolorach siedziby potępieńców, gdy on tymczasem nie był niczem więcej jak mieszkaniem rozbójników. —

Powieść nasza przedstawia nam tę bandę,

otaczającą ognisko pod gołym niebem, w bliskości młyna; składała ona się z mniej więcej trzydziestu ludzi, wszystko postacie odrażające, okryte podartymi płaszczyskami, rozłożone na ziemi, grające w kostki, karty — i tak marnotrawiące rozbojem nabyte złote łańcuchy, pierścienie, piękną broń, ubiory; — ciszę przerywały tylko szkaradne przekłęcia przegrywających, lub rzechotania się przerażliwe tych, co wygrywali. — Wokoło tak zatrudnionych graniem, siedziały na ziemi skurczone inne obce figury, chciwie wpatrujące się w wygrane rzeczy: byłito cyganie ułatwiający za dobry zysk sprzedanie skradzionych przedmiotów. — Nie daleko od nich leżało kilkunastu pijanic: brudne i opalone słońcem kobiety donosiły im wina, które zakrali byli ze sklepów obywatelskich. — Większa część tych zbiegów nosiła wojskowy ubiór chociaż zbrudzony i odarty. Broń wszelkiego rodzaju zatknięta za pasem, lub leżąca na pogotowiu pokazywała, jak się mają na baczności; a czarne lub białe kapelusze, zpogniecionymi lub opalonemi piórami, okrywały ich zuchwałe twarze.

Cokolwiek na uboczu, przy gorejącym

żwawo stosie leżał na rozpostartym płaszczu, wsparty na prawej ręce mężczyzna już nie młody. Krótka szara suknia okrywała go, a z porządniejszej broni domyślać się należało, że był naczelnikiem tej bandy. Był to Bazyli Koleski; twarz jego zdradzała duszę dziką i złośliwą, a latami posiwione włosy jego głowy i brody, uwydatniały aż do okropności postać jego. Z pod czerwonej czapki z czarnem piórem wyglądała głęboka blizna, która, choć dobrze zagojona, zapewne mu dokuczała, bo żymając się i krzywiąc twarz, dotykał się jej ręką. — Za nim czatowało kilku ludzi na straży. Do jednego z nich obrócił się i rzekł: „Szczepanie! widzę że twoje leki i maści tak są przestarzałe jak ty sam. — Coż mi to wszystko pomogło? Za każdą zmianą powietrza pali mię czaszka, jak gdyby ta przeklęta szabla, co mi tę pamiątkę zadała, jeszcze mi tkwiła w głowie. Łotrze! chwalić się umiesz, jak gdybyś wszystkie przeszedł szkoły, ale nic ześ zgoła nie wart. — Pomyśl jeszcze o jakim lekarstwie, bądź co bądź, bo inaczej wyznaczę ci spoczynek na pierwszej lepszej gałęzi!”

„Ale panie naczelniku! któryż też lekarz potrafi zastarzałe rany pozbawić boleści? —

Sam mówisz, że ośmnaście lat nosisz tę bliznę, ja cię zapewnić mogę, że pod nią kość zdruzgotana — jakże tu można skutecznie zaradzić? — Co mogę, to dla ulżenia ci chętnie uczynię.“ —

To mówiąc dobył flaszeczki z kieszeni, wlał na dłoń kilka kropel płynu koloru żółtego, zdjął dowodczy czapkę i natrzepał dokuczającą mu bliznę.

„A to mi pomaga — rzekł Bazyli — chłodzi przyjemnie. Dobry z ciebie chłopak. — Masz tu oto za twoją usługę czerwienca; będzie ich potem więcej, ale o tem myśl, żeby mi dowolnie przedłużyć życie, wszakci dopiero siódmy krzyżyk noszę; a muszę ci w sekrecie powierzyć, że mię z dniem każdym coraz silniej przeraża śmierć; boć mię tam nie licho czeka rachunek, aprzeto chciałbym tę chwilę na jak najdłużej odsunąć. — Wszak mię rozumiesz?“ —

„Ach Nero, czegoż tak warczysz! — On niechybnie coś wiełrzy.“ —

Na to nieutulone warczenie i skomłanie wielkiego psa, powstał Bazyli i przycisnął czujnego stróża do ziemi, a wtem dało się słyszeć po boru przerażające świstnienie.

„Czyto Wacław?” zapytał straży, i świsnął piszczałką na szyi zawieszoną.

„A Wacław ci, — ale sam tylko i z zawiniętą ręką; musiało go coś złego spotkać.”

„Co gadasz? — Z ośmiu towarzyszami wyprawiony, i samby tylko wracał?”

A wlecze się mazgaju — i spraw się gdzie są twoi towarzysze. — A on się trzęsie jak osowylisć; gadaj — przecie nie pochwytani. —

„Wiesz dowódzco, że na twój rozkaz rozłożyliśmy się w owym wąwozie tam na brzegu lasu będącym w zasadzce. Jużem myślał, że cię okłamano, i wiadomy transport towarów kupieckich nie nadejdzie, gdy się okazały wozy z daleka. Rozłożyliśmy się po obu stronach parowy, i gdy wszystkie w nią się wtoczyły, skoczyłem do koni woza pierwszego; stanęły — w momencie obciąłem postrońki, powaliłem kulą woźnicę; trzem czy czterem przy wozie idącym kupcom wraz z uzbrojonymi ludźmi, taka sama dostała się pigułka, i gdy już poczęliśmy wydobywać z wozów zapasy, widzimy, że pędzi ku nam poczet zbrojnych Frydlandczyków, i w tej właśnie chwili padło od ich strzałów trzech z naszej strony. Stanąłem w obronie z resztą

naszych, ale zaczepieni z takim nawałem zostaliśmy, iż gdy wszyscy legli, ja widząc rzecz straconą, zbiegłem sam do pobliskiego boru. Swisnęły za mną kule, a jedna z nich zdruzgotała mi ramię; w takim stanie stawam przed tobą dowódzco!“

Walcząc wyraźnie z własną popędliwością dosłuchał naczelnik końca, po którym wyrzekł z zapalczywością: „Ośmiu padło, a ty dziewiąty najnikczemniejszy ze wszystkich, ratowałeś ucieczką twe podłe życie, abyś mi głosem chrapliwego kruka zwiastował tę nieszczęsną nowinę. Podłe tchórze! trzech uzbrojonych potrafiło was dziewięciu wyprzeć ze stanowiska i ubić! — Sądysz, że mnie obełgać zdołasz? — Nie, oto z rąk moich odbierzesz to, przed czem nikczemnie zbiegłeś.“

Wacław zrozumiał swój wyrok, przeto zanim dowódzca zdążył wyjąć pistolet z zapasa, pochwycił go zdrową prawą ręką i uderzył silnie o ziemię; a ufając swym nogom zemknął w bór; mgła go zresztą zakryła.

Inni zbójcy, czy z litości nad swoim kolegą, czy też że im miłe było takie pozdrowienie swego wodza, ani się nie ruszyli za nim w pogoń, ani nawet nie posłali za nim strzału,

ROZDZIAŁ IX.

M ś c i c i e l.

W cieni wyniosłych świerków, na krańcu lasa, spoczywał Rejnhold ze swymi towarzyszami, którzy w błyszczących zbrojach stali lub leżeli wokoło swego wodza, świeżo w policzek cięciem pałasza draśniętego. „Widzę, rzekł do podoficera, że jesteście znużeni; każ sześciu ludziom ruszyć do pobliskiej wsi, aby zakupić wina i żywności, i pokrzepić się. Oto masz pieniądze; zda mi się, iż wystarczą na potrzeb, bo ja tego nie chcę, aby moi podkomendni ludziom biednym stawiali się ciężarem.“

Podoficer odebrał z podziękowaniem pieniądze, wysłał wskazaną liczbę żołnierzy po żywność i rozstawił czaty. To uczyniwszy wrócił, położył się w bliskości podchorążego,

i tak doń przemówił: „Wczoraj mieliśmy zaciętą bójkę, to łotrostwo nie źle robiło pałaszami, a kulki porządnie nam mimo uszów gwizdały. — Podchorąży biłeś się jak stary żołnierz, — ale muszę go przestrzedz, jako do tego upoważniony od Księcia, że byłeś za nadto śmiałym. — Te łotry są podstępne, zdradliwe, bronią nędznego życia swego bez względu na przepisy rycerskiej sztuki; a z takimi trzeba mieć się bardzo na baczności. Szczęście, że cięcie które podchorąży odebrałeś, tylko lekkie, ale inną razą nas przepuść na nich, a sam nie walaj pałasza twego w krwi zbójczej.“

„A niech mię Bóg broni! — Książę stawiał mię na waszém czele, tam też walczyć mi należy; — lubo w tém masz prawdę, że trzeba być ostrożniejszym. — Patrzno tam ku wsi — cóżto oni tam wleką — Jakiegoś podobno związanego w powrozy człowieka?“

Podoficer skoczył na konia, pośpieszył ku wskazanej sobie stronie, i w krótkim czasie, wrócił z wysłanym po żywność oddziałem. — Żołnierze przywieźli poddostatkem żywności, a co więcej, jednego powrozami związanego w karczmie zdybanego

jeńca stawili przed chorążym. Byłto ów Wacław, który zbiegłszy przed zemstą Bazylego, nie uszedł ręki sprawiedliwości.— Reinhold kazał mu rozwiązać ręce, a przypatruwszy mu się rzekł: „A wszakcito ty byłeś wczoraj z tymi rozbójnikami, coto napadli spokojnych kupców towary swe prowadzących? Dla podłego zysku, zabiliście kilku ludzi. — Wczoraj uratowała cię szybkość nóg twoich, ale co się odwlecze, to nie uciecze, dziś doznasz, że bezkarnie broić złego niemożna. — Ja się lituję nad tobą, młody oto człowiek jesteś, a już napiętnowany zbrodnią! — Masz niechybnie wisić, tak każe moja instrukcja, — a z sumieniem twoim jak stoi? W godzinę staniesz przed sądem bożym, aby zdać sprawę z życia twego, Pomyśl o tem szczerze — błagaj Boga o odpuszczenie twoich grzechów! — Chętniebym ci przystawił kapłana, żebyś się wyspowiadał, ale gdzież go tu szukać?“ —

Reinhold nie mógł dalej mówić, tak mu ciężało na sercu, wydanie wyroku śmierci. — Pojął to winowajca drżący, rzucił się do nóg jego, i ze łzami błagał miłosierdzia, zapewniając, że po większej części był znie-

wolony do zbrodni przez swoich kolegów, że w nagrodę uzyskaney łaski przyłoży się do schwytania żywcem Koleskiego, naczelnika bandytów. Z taką czułością winowajca zebrał litości, że nawet starzy żołnierze z towarzystwa Rejnholda, litowali się nad nim, i radzili, aby go użyć za wędkę do schwytania dowódcy. Rejnhold, który walczył z sumieniem i litością, chętnie skłonił się do ich rady, sądząc, że korzyść dostania żywcem herszta, usprawiedliwi go w obec księcia który polecił każdego schwytanego bandytę powiesić; rozkazał przeto powstać bandycie i zapewnił go, że mu życie daruje i o ulaskawienie jego przed swoją zwierzchnością starać się będzie, ale pod tym warunkiem, że mu wyda w ręce żywcem herszta. Przyrzekł to padając kilkakrotnie do nóg rozbójnik, poczem oddany został pod straż, a Frydlandczycy zasiedli do posiłku.— Pod wieczór, weszła kommenda do wsi, gdzie jako obrońcy przeciw najeźdźnikom, radośnie przyjęci zostali; Rejnhold zaś wraz ze swoim podoficerem i więźniem, gdy podkomendni spoczywali, siedzieli długo w noc, naradzając się, jakby bandę rozbójników naj-

łatwiejszym rozbić sposobem. Rady rostopnego żołnierza, i to wszystko, czego im udzielił rzetelnie więzień, nie pozostawiały wątpliwości, że się wszystko uda; po ułożeniu zatem planu i poleceniu się opiece Boga, porzucił się Rejnhold w ubraniu na przygotowane posłanie, i wkrótce snem spokojnym zasnął.

Na drugi dzień, skoro tylko promienie słońca jaśnieć poczęły, już Rejnhold był czynnym; jego ludzie zajęci byli czyszczeniem koni i broni, którym oświadczył, że nie prędkiej ruszą na nieprzyjaciół, aż ze zmrokiem; jego zamiarem jest uderzyć na ich siedliska przy starym młynie w boru. Stare wojaki przyjęły z radością oświadczenie swego dowódcy, którego kochali.

Niebo sprzyjało zamiarom bo pokryte ciemną chmurą, księżyc i gwiazdy zaślaniało; pozostawiwszy więc konie — boby ich mogły zdradzić — w najgłębszém milczeniu, po ciemku, szła ta komenda mężnych rycerzy ku borowi, uzbrojona w karabiny i pałasze. Rejnhold na przedzie, a obok niego więzień lekko związany, przewodniczący wiernie przez bór i parowy.

Już minęło parę godzin podróży, gdy przewodnik stanął i cichym głosem rzekł do Rejnholda: „Widzisz pan, oto w tamtej stronie płomień, przez drzewa przedzierający się? — Jeszcze kilka kroków, a młyn będzie przed nami. Ale teraz cichuteńko, bo w bliskości mogą leżeć czaty.“ —

Podobnież przytłumionym głosem zawołał na swoich Rejnhold: „Stój! — zostańcie tu, — a ja podkradnę się aż pod młyn, żeby się przekonać, czy się nas spodziewają; gdybym został zaczepiony, na pierwszy strzał przybywajcie.“ Pokrył zbroję płaszczem, cichaczem szedł aż na brzeg boru, z kąd starał się, o ile ciemność do-
walała wymiarkować położenie miejsca. — Młyn, za ledwo czterdzieści kroków odległy, leżał przed jego oczyma; jak widmo jakie wyglądała ta zniszczona budowla wśród ciemnej nocy, a strumień łoskotał przeraźliwie gdy tymczasem wychodzące światło z otworów dawnych okien, odbijało się w niem ponuro. — Z młyna wydobywał się gwar i krzyk pijanych jego mieszkańców. O ile się zdawało byli ci rozbójnicy tak dalece o sobie pewni, że nawet czatów nie

rozstawili. Aby się o tém dokładniej przekonać, podsunął się pod sam młyn i pilnie wszystko badał; ale bandyci bez najmniejszej obawy, pili i biesiadowali, jakby niczego obawiać się nie należało.

Tak przepatrzywszy wszystko, wrócił Rejnhold do swoich. „Wszystko dla nas po myśli, odrzekł, — banda jest społem, bezpieczna we młynie. — Wy, podoficerze, otoczycie z piętnastu ludzmi młyn z lewej strony, ja zaś wezmę resztę; więzień zostanie tu, ze swoim stróżem.“

Wśród głębokiego milczenia otoczono ze wszech stron młyn, Rejnhold z kilku silnemi śmiałkami stanął przed drzwiami, które z kilku desek lekko zbite, dozwoliły wszystko słyszyć, co wewnątrz mówiono. Przez szparę widzieć można było, jak cała ta zgraja leżała około beczki; jedni spali, drudzy pijani, a Bazyli, którego poznał z opisu, siedział w pośrodku, przy nim spał jego wierny pies, a smoła w żelaznym garnku się paląca oświeślała ponuro mieszkanie.

W tém przebudzony pies zaszczekał. — „Teraz huże!“ zawołał Rejnhold, silnem uderzeniem wywalił drzwi i wpadł z swymi

na rozbójniki. Skoczyli i ci szukając broni; — hałas — zawierucha! — Bazyli zbierał zwoich w około siebie cofnąwszy się w kąt; Frydlandczycy nacierali i rąbali dzielnie. A choć bandyci z rozpaczą bronili się, to przecież wnet ich legła większa połowa zabitych, lub powiązanych na ziemi. — Jak rozjuszony lew walczył stary Bazyli, mając jeszcze dziesięciu swoich około siebie; właśnie pozbył się Rejnhold dwóch łotrów; uderzył przeto na herszta z pałaszem w rękę; tenże pozwolił mu przystąpić ku sobie, i nieznacznie dobył z zapasa pistolet i zmierzył w Rejnholda, lecz widoczném zrządzeniem Opatrzności proch spalił się na panewce, a strzał nie nastąpił.

• To widząc młodzieniec dzielném uderzeniem pałasza wytrącił zbrodniowi pistolet, a pochwyciwszy go za kołnierz rzucił pod nogi swoim rozkaz dając: „Zwiążcie tego łotra!“ — Skoro rozbójnicy stracili swego naczelnika, stracili i odwagę, i nie trudno było ich poskromić; złożyli wreszcie broń, i poddali się. Rejnhold rozkazał ich powiązać i przed dom wyprowadzić. Ośmnastu rozbójników związanych leżało na ziemi,

drugie tyle było zabitych. Ze strony Frydlandczyków jeden zabity, i kilku rannych, ale bez niebezpieczeństwa. —

Jak związany niedźwiedź tarzał się i kłął, leżący na ziemi Bazyli; spostrzegłszy Wacława, spienionemi ustami ze złości krzyknął: „Ha, ty nędzniku, drogo okupiłeś twe podłe życie! — Że ja tu leżeć muszę, to twoje szczęście, bo gdyby nie to, zdruzgotałbym cię na miazgę!“ — Więcej mówić nie mógł, bo złość przytłumiła głos jego; odwrócił się i zatopiwszy w ziemię swą twarz, wył jak szalony.

Rejnhold zostawił połowę ludzi na starży przy zwyciężonych, a z resztą udał się do wsi po konie i ludzi, aby skradzione rzeczy przewieźć z młyna. Gdy dzień poczęło wrócić konno, a w godzinę po jego powrocie, przybyli wieśniacy ku pomocy z wozami. — Dwa wielkie wozy napełniono zapasami rozmaitego rodzaju; te odesłano pod strażą do wsi; poczem kazał Rejnhold zapalić młyn, żeby na przyszłość nie skusił jakiej bandy łotrów, i nie posłużył im za schronienie. Gdy młyn stał w płomieniach powiązano niewolników po dwóch powrozami popętano

nogi i ręce; Bazylego przywiązano na koniu, i ruszono za wozami.

Wróciwszy z tej wyprawy wśród okrzyku radością uniesionego ludu, że uwolniony został od napaści rozbójników, oddał Rejnhold zdobycz miejscowej władzy aby wręczyła poznaną własność każdemu zgłaszającemu się; a po krótkim odpoczynku ruszył z jeńcami do Pilzy. — W mieście zdał sprawę ze swjej wyprawy Rządcy obwodowemu, oddał mu jeńców, wyłączywszy Bazylego, którego zabrał z sobą do Pragi, aby podług życzenia Księcia oddać mu go żywcem.

ROZDZIAŁ X.

P o w r ó t.

Zywą zajęty rozmową chodził Wallenstejn z bratem Walentym po sali. Ostatni przybył do Pragi w celu odwiedzenia swego wnuka, i z żalem dowiedział się, iż go nie zastał w stolicy. „Zaręczam was, mówił Książę, że dziś lub jutro wrócić powinien; już temu dwa tygodnie właśnie upłynęły, a wasz wychowaniec nie lubi zwłoki.“ —

„Mnie tylko to niepokoi, odrzekł Walenty, że młokos mógł się zaślepić honorem powierzonoj sobie sprawy, przekroczyć granice umiarkowania i wystawić się na niebezpieczeństwo.“

„Co do tego, możecie być zupełnie spokojni. Zanim go wysłałem, dałem mu szczegółową informację, i poleciłem go staremu

doświadczonemu podoficerowi; jestem pewnym, że mi go nie zgubi.“

W tym właśnie momencie dały się słyszeć trąbki, różnego marsza grające, a Książę skoro je usłyszał, z radością zawołał: „Otoż wracają.“ — Otworzył okno, i przyglądał się, jak Rejnhold na czele swego hufca ciągnął przed pałac, a spostrzegłszy Księcia i dziadka skłonił im się i w momencie zsiadłszy z konia stanął przed nimi.

Najpierwsze pytanie księcia było: „A co, masz dowodzcę rabusiów?“

„Do usług W. Ks. Mości! — Oddałem go straży, i spieszę oddać pismo i —

„I — dodał z uśmiechem Wallenstein — uściskać dziadka! — No, długoście się nie widzieli; — rozmówcież się teraz za wszystkie czasy, a ja dowiem się tymczasem, jak w Pilzie rzeczy stoją.“

Z niewypowiedzianą żywością ścisnął i całował swego dziadka młodzieniec.

Nie odmienił się na włos w swojej szczerości i przywiązaniu do swego ojca i przyjaciela; te różnorodne wpływy życia dworskiego, jego świetność i wspaniałość, łaski i grzeczności, które sobie zjednać potrafił,

nie to nie odmieniło tego wychowawca natury; na zwierciadle jego pięknego serca nie zatrzymał się żaden brudny podmuch.

„Mój kochany, drogi synu! — mówił pustelnik — jakże jestem szczęśliwy, że cię widzę, że cię do serca mego przycisnąć mogę, w którym nosiłem w tęsknocie twój obraz. — Zdjęła mię trwoga, gdy cię nie zastał na dworze, i dowiedział się, iż wysłany byłeś do walki; ale Bóg cię oto strzegł, i oddał mi cię całym.“

„Tak jest, — i jeszcze mię sownie wynagrodził, gdy mi nad spodziewanie, w objęciach dziadka spocząć pozwala. — Każdego dnia, każdej godziny myślałem o tobie; — myśl o tobie była mi wszędzie błogim stróżem. Moje poselstwo szczęśliwie ukończył. — Bicz Boży na Czechy, Bazyli, schwytany we więzach stanie przed sądem, banda jego rozbita.“

„A czy też szczeniłeś niepotrzebnego rozlewu krwi w twojej wyprawie?“

„Gdzie można było i ile się dało; przecież temu nie można było zapobiedz, bo w nocy napadliśmy na siedlisko łotrów, i połowa padła trupem od kul i pałaszów moich ludzi.“

Wtym skończył czytanie Książę i rzekł do Rejnholda: „Dobrześ się sprawił, mój Rejnholdzie! — Jestem zupełnie zadowolniony! — Nie szkodziłoby było, gdybyś tych zbrodniów był kazał bez ceremonii popowieszać, ale oni nie ujdą swego przeznaczenia w Pilzy. — Teraz mi powiedz, jakim sposobem ci się udało tych łotrów tak gracko rozbroić?”

Tu Rejnhold opowiedział wiernie swą wyprawę od początku, aż do końca. Książę i pustelnik słuchali z natężoną uwagą, a gdy skromny młodzieniec opowiadanie skończył, poklepał go pierwszy po ramieniu i tak rzekł do pustelnika: „No, stary przyjacielu, wszakżeś właśnie w sam czas trafił, żeby się ucieszyć z twym wychowawcą. — Nagroda pójdzie niebawem za zasługą! — Idźcież teraz na wasze pokoje, żebyście się z sobą nacieszyli do woli. — Przechodząc, przy kordygardzie rozkaż Rejnholdzie, żeby mi przyprowadzono rozbójnika do przestuchania.”

Po odejściu Rejnholda z dziadkiem, chodził Książę z porywcznością po sali i rozkazał sekretarzowi być na pogotowiu do spisania zeznań bandyty. — Twarz jego przybrała

postać ponurą, oczy brwiami zasepione, zgoła oczywisty obraz surowego sędziego. Wnet dał się słyszeć w przedpokoju szcęk kajdan, jakoż prowadzony przez dwóch trabantów wszedł do sali Koleski. Błady, z najeżonemi włosami, stanął z przestachu na wpół umarły starzec; dawna odwaga i zaciętość opuściła go, bojaźń śmierci i uznanie swych zbrodni widocznie malowały się w postaci jego. — Długo mierzył go przenikliwym wzrokiem Wallenstein, i począł wreszcie poważnym badać głosem. — Pytanie szło po pytaniu: pokornym głosem odpowiadał Bazyli, i przyznał się bez ogródki do wszystkich zbrodni, które były wielkie i rozliczne. Trzy godziny trwało przesłuchanie; nikt nie miał przystępu do Księcia. Po skończonej czynności zaprowadzono winowajcę do ścisłego więzienia.

Jak skoro mniemany Koleski opuścił salę, rozkazał Książę śpiesznie zawezwać pustelnika; ten zastał Wallenstejna stojącego w oknie, w wielkiem poruszeniu. „Kazałem was, — mówił — zawezwać, żeby wam powierzyć ważne odkrycie — Bandyta Bazyli, co dopiero opuścił po przesłuchaniu izbę, i ka-

pitan Torelli, ten co zburzył wasz zamek Worozdyn, jest jedna i taż sama osoba! — Jeszcze znać bliźnę od pałasa waszego, którąście mu w walce zadali; zsiwiał do niepoznania ze starości; bojaźń kary tu i za grobem, dużo znękała tego niegodziwca.“

„Wielki Boże! jak dziwne są twoje zrządzenia! — rzekł pustelnik. — Twoja ręka umie dosięgnąć zbrodniarza, choćby przed nią uciekał od kraju do kraju! — a niechby się ukrył w najgłębsze rozpadliny ziemi, niechby go tam pokryła ogromna skała, Twoje wszechmocne ramię pochwyci go i stawi przed sądem. — To biedne dziecko, które w ową okropną noc cudzą pomocą wyniesione zostało z gorejącego zamku, wyrosło na Twój rozkaz na dzielnego młodzieńca, aby pokonanego napastnika swego stawić przed sędzią! — Człowiek, który zatrul moje szczęście ziemskie i mój spokój, o którym miałem to przekonanie, że w skutek mego cięcia pogrzebion jest w gruzach Worozdynu, jeszcze broił bezprawia, aby go dosięgnął miecz sprawiedliwości! — Wszakże zechciej mię Książę objaśnić, jakim sposobem został Torelli ocalony z po-

gorzeliska i śmiertelnej rany, jak dostał się w bory?“ —

„Jak mi wyznał, od was pałaszem w czoło rażony padł bez zmysłów. Gdy po długim czasie przyszedł do przytomności, spostrzegł, że leży na miękkim łożu w małej izdebce, mając głowę zawiązaną, której boleść nieznośnie mu dokuczała. — Sprzęty tej izdebki tak mu były tajemnicze i przerażające, że sądził, iż to wszystko we śnie się dzieje. — Wszakże gdy kurzem pokryte zwitki papieru, broń i kościotrupy ludzkie i zwierzęce, — rozmaite nieznane mu maszyny i sprzęty, jednostajnie oczom jego przedstawiały się, poczęło mu to wszystko zawracać głowę. — W godzinę może otworzyły się drzwi, i wszedł mężczyzna w zielonym myśliwskim ubiorze, na głowie w kapeluszu z piórem, stanął przy łóżku, i zdawał się być zadowolnionym z jego przytomności umysłu. Zapytał go przeto, jakim sposobem dostał się w to miejsce; na to pytanie odpowiedział mu borowy, że się niedziwi, iż kapitan nie może sobie tego przypomnieć, ponieważ bezprzytomny przyniesiony tu został przed czterema dniami przez kilkunastu znacznie porą-

banych węgrów; znajduje się w borach czeskich, i był przyzwoicie przez ten czas pielęgnowany. — Gieshard zwał się ten borowy, który długi czas był postrachem całej okolicy; napadał ludzi, łupił wsie, a nikt doń dojść nie mógł. Ten, wyzdrowiałego Torellego zaznajomił ze swoim niecnem rzemiosłem; a gdy Torelli polubił takowe życie i przeszedł w okrucieństwie swego mistrza, począł go tenże karcić, za co wystrzałem życie utracił. Przybrał sobie Torelli kilkunastu zbiegów, i z niemi łupił okolice, aż go nasz Rejnhold poskromił. — Oto cała tego łotra, który jutro zasłużoną odbierze nagrodę, historia.“

Brat Walenty słuchał z nateżoną uwagą powieści, po czem wniósł następującą prośbę do księcia: „Zechcesz wasza książęcia Mość pozwolić na przedstawienie sobie jednej prośby?“

„Nie tylko pozwalam, ale i zaręczam ci jej spełnienie, skoro nie będziesz żądał ułaskawienia rozbójnika.“ —

„O to nie myślę prosić. Niech winowajca odbierze karę, jako prawo naznacza; mój głos za słaby, żeby mu wyjednał względy.

Bez litości wylewał niewinną krew, ta żąda aby w obec ludzi, już tu, dla przestrogi drugich, odebrał zasłużoną karę. — Ale widzieć go, mówić z nim, aby go usposobić do chrześcijańskiego poniesienia kary, aby wskazać mu pociechy, jakie i takim św. Religia niesie, to jest moje usilne życzenie. — Już ja przestałem nienawidzieć go, już mój żal, jaki niegdyś ku niemu miałem wyszumiał, spokojny przeto mogę stanąć przed moim nieprzyjacielem, i uczynić dlań to, co miłość bliźniego nakazuje. — Wszakcito człowiek stary, słaby, który gwałtowną ma umrzeć śmiercią — ma stanąć przed sądem Boga, aby zdać sprawę ze swego mocno skalanego życia; on zapewne drzy na wspomnienie tego, może rozpacza — trzeba mu wskazać Boga, jak jest litościwym; trzeba go nauczyć jak ma stać się godnym téj litości!“

Wallenstein, który w zamyśleniu słuchał starego, zbliżył się ku niemu, a położywszy poufnie swą prawicę na ramię jego, odrzekł „Zaprawdę, obierasz sobie świetny zawód. Imię Frydlandczyka poruszyło Niemcy, wawrzyny zdobią jego skronie; ale większym i dzielniejszym czyni cię twoja wiara; —

świetniejszą jest gałązka oliwna, jak wawrzyny krwią zbryzgane! — Idź do winowajcy i przysposób go na dzień jutrzejszy. Zamyślałem ukarać go z wszelką surowością prawa; lecz przez wzgląd na twoją cnotę zmieniam wyrok na ścięcie toporem; więcej uczynić nie mogę.“

To wyrzekłszy, szedł Książę śpiesznym krokiem, aby ukryć swe wzruszenie; z wolna postępował za nim pustelnik, idąc do zamkowej kaplicy, aby przed ołtarzem błagać Boga o potrzebną do swego przedsięwzięcia pomoc.

ROZDZIAŁ XI.

Nawrócenie i pojednanie.

W obszerném, podziemném, z kamieni murywaném, smutnie tlejącą lampą oświetloném więzieniu, leżał rozbójnik na słomie rozciągnięty; zimny przez kratę wdzierający się wiatr zawył czasami, przerażał dreszczem i trwogą skrzeplą krew starca i niespokojne sumienie. — Wtém dał się słyszeć brzęk kluczy u drzwi więzienia, zaskrzypiał zamek, a zbrodzień sądząc że ostatnia godzina dlań bije, porwał się przy brzęku kajdan i począł sobie szemrać: „Otóż idą! — Zapłata za twoje zbrodnie przychodzi ze szczękiem żelaza, — a na tamtym sądzie niema miłosierdzia! — Okropne rzeczy!“ —

Ale te odwiedziny nie zwiastowały jeszcze spodziewanego końca, nie słudzy spra-

wiedliwości, lecz wszedł zwiastun miłosierdzia: pustelnik stanął przed posłaniem Torrellego. — Wpatrywał on się chwilę w twarz pustelnika, poczem z wielkim przestachem rzucił się na posłanie, jakoby piorunem rażony, i krzyknął przeraźliwie: „Ha! umarli zmartwychwstają! — Duchy zjawiają się! — Litości! miłosierdzia! — Będę się modlił; — będę lał łzy żalu — tylko ty mię opuść blady duchu! — Ustąp!“ —

Jęcząc zanurzał swą twarz w słomie; lecz podobny do anioła pokoju schylił się ku niemu pustelnik i odrzekł łagodnym głosem: „Podnieś się nieszczęśliwy! Nie widmo, lecz żyjący człowiek mówi do ciebie. — Nie śmierć ci przynosi, lecz, jeżeli będzie wola Boga, pociechę i spokój dla twego strapionego serca. — Torelli nie bój się niczego, — ten któremuś zaprawił życie goryczą, przychodzi podać ci rękę do zgody.“

Dziwnie skutkowała ta odezwa miłości chrześcijańskiej. Podniósł się z posłania, kląkł przed pustelnikiem, a pochwyciwszy rękę jego, rzekł: „O gdyby mię był twój miecz onęj nocy śmiertelnie ranił, możeby mi w ów czas Bóg był miłosiernym; ale dziś

nie ma miłosierdzia dla starca w grzechach zgrzybiałego. — W krótkim czasie zadzwoni mi dzwonek śmiertelny! dreszcz grobu przeraża mię — bo poza nim, niema miłosierdzia dla zbrodnia!“ —

„Nie rozpaczajże nieszczęśliwy człowieku! cieszył go pustelnik. — Wszakże Boskie miłosierdzie jest niewyczerpane, nieograniczone; wznieś doń twego ducha, a będzie i dla ciebie otwarte. — Prawda że dużoś w życiu twojem zawinił, twoje grzechy wołają o pomstę; wszakże jeżeli za nie będziesz szczerze żałował, dla zasług Jezusa, który i za ciebie krew swoją na krzyżu przelał, będą ci odpuszczone. — Zamiast nikczemnej rozpacz, wznieś do Boga skruszone i ufne serce — ulżyj mu szczerem wyznaniem grzechów; a przekonasz się, że Bóg jest litościwy! Jeżeli prawa ludzkie są nie ubłagane, zapewnij przynajmniej duszy twojej zbawienie! Bądź mężnym, ratuj to co jeszcze ocalonem być może. Ja cię nie opuszczę — ja będę cię wspierał moją modlitwą!“

Ze łzami w oczach i wyraźnem zadowoleniem słuchał więzień tej mowy, a jego duch dźwigał się z więzów grzechu, w któ-

rych tak długo leżał. Z niemałym rozczuleniem, ale tak przyjemnem, jak tego nigdy nie doświadczył, uwierzył w miłosierdzie Boże, w odkupienie grzesznika przez mękę i śmierć Chrystusa, i ożywił w sobie błogą nadzieję, że mu grzechy będą odpuszczone; czarna rozpacz która go dotąd trapiła, znikła zupełnie; a gdy wszedł kapłan, który opodał czekał na skinienie pustelnika, ażeby przygotował grzesznika na drogę do wieczności, przyjął go jak Anjoła zwiastującego ojcowską miłość Boga ku zbłąkanym utworom swoim. Nie jestże to rzeczywiście Boskie zapewnienie, które mówi: że Anjołowie cieszą się z nawrócenia jednego grzesznika więcej, niż z dziewięćdziesiąt dziewięciu zarozumiałych sprawiedliwych? — Nie odbijaż się ono tak błogo w głębi ducha naszego, nie poryważ go na skrzydłach miłości aż przed tron tego litościwego Boga? — Brat Walenty i kapłan nie odstąpili Torellego; przepędzili noc całą na modlitwie i doznali téj pociechy, że w serce grzesznika coraz więcej spokojności i synowskiego rozczulenia wstępowało; a gdy pierwsze promienie słoneczne zawitały do więzienia, oświadczył winowajca gotowość

swą na śmierć, bo go pociechy religijne podźwignęły i mężnym uczyniły. Znikł z twarzy odrażający wyraz okropnej rozpacz, a osiadła spokojność i poświęcenie! —

O dziesiątej godzinie weszli do więzienia słudzy sprawiedliwości. Wzdrygnął się wprawdzie na ich widok Torelli, lecz umiał tę słabość natury natychmiast stłumić, i szedł z nimi mężnie i odważnie na miejsce egzekucyi; wiernie mu tam dotąd towarzyszyli brat Walenty i Kapłan. Na rusztowaniu stał pień przykryty czarnem suknem, z pod szkarłatowego płaszcza, którym okryty był kat, dobywał się ukradkiem błyszczący topór. Wszedłszy winowajca na rusztowanie, padł na kolana polecając ducha swego Bogu, poczem położył głowę na pień, a cięty toporem odebrał raz śmiertelny; sprawiedliwości stało się zadosyć.

Rejnhold siedział zadumany w swęj komnacie, i wzdrygnął się, gdy dziadek swem wejściem, obudził zamyślonego. „A cóżto Rejnholdzie że pierwszy raz w życiu lękasz się mego wejścia? Wszakżem ja nte przestał być twoim przyjacielem, i czegoż lękać się?“ — „Wybacz szanowny ojczy, — od-

rzekł młodziemiec — los tego nieszczęśliwego człowieka, któregoś do bram wieczności odprowadził, mocno mię przeraził. Ja go schwyciłem i przyprowadziłem tu dotąd, aby skarany był śmiercią; ta myśl mię niepokoi i dręczy. Toć ja jestem narzędziem jego gwałtownej śmierci.“ —

„Zaspokój się mój synu. Torelli umarł jak chrześcijanin jak mąż! — Ty nie jesteś w niczem winien jego śmierci: jako sługa Księcia powinienesz być pochwycić zbrodniarza. Ochronieś lud od napaści i morderstw; czyby to mogło być złém? A gdyby on nieschwyty, popełniał dalej zbrodnie, i temi okryty stracił nagle życie: czyżby wtenczas los jego nie był daleko gorszy, jak że z Bogiem pojednany poddał się sprawiedliwości? — Nie, nie, twoje myśli są niesprawiedliwe; najmniejszej winy nie masz w twojem postępowaniu; uspokój się.“

• „Twoje uwagi ojczy, zaspokajają mię. — Módl się za mnie ojczy, ażebym w ciężkich razach nie upadał na umyśle, lecz wspierany był tą mocą wiary, jaką ty żyjesz.“ Uściskał pustelnik wnuka swego, pożegnał i wrócił na pustynię.

ROZDZIAŁ XII.

Astrológ.

„Idź do Seniego, — rozkazał Książę Rejnholdowi, — i powiedz mu, że za półgodziny będę w jego pracowni. Zostanisz u niego aż ja przybędę, bo może mi będziesz potrzebnym.“

Posłuszny Rejnhold poszedł natychmiast spełnić rozkaz swego pana. — Nigdy jeszcze nie był na wieży w mieszkaniu Seniego, bo tam zakazany był przystęp każdemu; szczególne przeto zaufanie Księcia widział w daném sobie poleceniu. Z wielką zatem ciekawością szedł po wązkich wschodach do wieży; stanąwszy przed drzwiami, czarnem suknem powleczonemi nad którymi na tle błękitném złocista zawieszona była gwiazda,

zapukał raz, — drugi, — a gdy się nikt nie odezwał, wszedł śmiało, aby się przynajmniej dowiedzieć, czy się nie pomylił i gdyby tak było, spytać się: gdzie szukać gwiazdźdza. — Wszedłszy ujrzał się w izbie czarnym aksamitem wybitej, w pośrodku której stała wązka drabina prowadząca ku drzwiom w podniebieniu otwartym; przez otwór widać było błękit nieba i połyskujące na nim gwiazdy. — Wielkie szkła na których namalowane były rozmaite obrazy, błyszczące kryształowe kule, i zwierciadła, — optyczne instrumenta i rozmaitego kształtu dalekowidze, stały na długich stołach. — Wielkie księgi, i rozmaite zwitki papieru leżały na ziemi. Na niskim a obszernym kominku poustawiane były szklanne retorty, miseczki i rozmaitego rodzaju naczynia. A co najwięcej uwagę jego zajęło, to wielka sowa, która w rogu izby po długich prętach poważnie chodziła, wchodzącego błyszczącemi oczyma przywitała i długie swe skrzydła rozpościerając je, wietrzyła. W skutek tego poruszenia ukazała się mała postać Seniego z za licznych ksiąg przychodząca, której Rejnhold dotąd nie spostrzegł.

„A to wy chorąży, który po tak długiej bytności w pałacu, swego starego przyjaciela dopiero teraz odwiedzacie! — Witajcież choć tak opieszały gościu i mówcie czém wam mam służyć?“

„Ja przychodzę z rozkazu Księcia, zwiastować wam, że za półgodziny tu przybędzie. Jego życzeniem jest, żebym go u was oczekiwał.“

„A to mię cieszy. Rozgoście się; — a jeżeli wola wasza, pomóżcie mi ustawić instrumenta astronomiczne, żeby były w porządku na przybycie naszego pana.“ —

Astrolog wziął teleskop ze ściany, i idąc z nim po drabinie mówił do Rejnholda: Bądźże p. Chorąży łaskaw podać mi stojącą przy tobie mosiężną podstawę. — A teraz tamto krzesło przy ścianie dla Księcia. — Jeżeli wam się podoba, proszę za sobą, zdaje mi się, iż tu znajdziecie miłe zadowolenie.“

Rejnhold usłuchał wezwania, i stanął na płaskim dachu wysokiej wieży, który ograniczała żelazna poręcz; ta wieża służyła Walenstejnowi do postrzeżeń astronomicznych. Łagodny wietrzyk chłodził powietrze, na

ciemnym błękiecie nieba jaśniały miliony gwiazd, a pełny księżyc przeglądał się w Motławie, która płynie przez Pragę. Z tej wysokości czarujący był widok stolicy, ozdobionej tyłu gmachami i śmiało w górę wznoszącymi się wieżami. Cisza i spokojność spoczywała na krajobrazie, ograniczały go światłem księżyca oświetlone wzgórza i bory.

„A cóż podoba się wam ten widok? — Nie jestże nasza Praga, przerznęta srebrnym pasem rzeki, nadobną? — Widzicie, most ozdobiony naszym patronem, figurą ś. Jana Nepomucena? — Jakito choć o tej porze wielki ruch na moście!“

„Prawda, wyborny, zachwycający widok! — Taki obraz nocny czyni na mnie szczególniejsze wrażenie; on mię wzrusza i jest mi tak przyjemny!“ —

„A teraz spojrzycie w górę; — na te miliony gwiazd na firmamencie rozsiane. Tyśiące już lat biegną swemi drogami, a nie zetną się z sobą, choć mniejsze około większych z równą zawsze szybkością krążą. — Przypatrzcie się należycie temu cudnemu widowisku, ono wzruszy niechybnie ducha

i pociągnie serce wasze. Wierz mi młodzieńcze, jestto prawda, że gwiazdy rządzą losami człowieka!“ —

„Prawda, że wpatrzenie się rozważne w gwiazdy, gdy obudza myśli wzniosłe i trudne do zgłębienia pomysły, unosi zarazem serce człowieka; a przecież rozum wsparty wiarą upewnia nas, że nad gwiazdami istnieje ich Twórca tak potężny, że te wszystkie świetności są tylko podnóżkiem jego. — Mówisz panie, że gwiazdy rządzą naszymi losami. — Co? te ciała bez myśli, bez życia mają mną rządzić? — Nie, mnie z tém lepiej, że mną rządzi potężny, najmędrszy i najsprawiedliwszy Bóg! wiem że mi nie zostanie żadna niesprawiedliwość wyrządzona!“ —

„Sądź, jak ci się podoba! — Nie mówmy o tem, bo oto słyszę, że Książę idzie.“

„Czy jest u góry Seni?“ — zapytał książę z pracowni astrologa.“

„Niech wasza książęca Mość zechce tu wejść; widoki są dziś daleko schlebniejsze jak kiedyś; wszystko przygotowane do wpatrywania się w gwiazdy.“

W zwyczajnym ciemnym ubiorze, okryty płaszczem, wszedł książę do obserwato-

ryum. — „Któż tu jest więcej prócz ciebie?
— zapytał niepoznawszy Rejnholda.

„Ja jestem, Książę“ — odrzekł Rejnhold.

„A tak, kazałem ci tu na siebie czekać.
Dobrze, zobaczmy też potem, jak twój horoskop wskazuje. Wszakże Seni wynajdziesz takowy? A teraz do wpatrywania się!“ Po tych wyrazach siadł na przygotowane dla siebie krzesło i wpatrywał się przez szkła w gwiazdy.

Tak siedział przeszło godzinę, czasami tylko przemawiał do Seniego w kilku niezrozumiałych wyrazach. — W końcu powstał żwawo i rzekł: „Cudnie! — Jasno błyszczy dziś Jowisz, i zbliża się ku Marsowi. — Seni! ja dziś dużo widziałem i cieszę się z tego. — Moje nadzieje mię nie omylą, niemogą omylić. Zejdźmy teraz, i ty także Rejnholdzie. W pracowni chcę jeszcze coś widzieć.“

Gdy zstąpili do pracowni, Seni odjął drabinę, sznurem ściągnął i zamknął drzwi do obserwatorium prowadzące. — Co gdy uskutecznióm zostało, i Wallenstejn zasiadł na swém krześle, rzekł: „Teraz chcę wiedzieć, jakie losy tobie, Rejnholdzie, obiecują gwiazdy. Staw Seni horoskop dla podchorążego.“

Rejnholda przeszedł jakiś zimny dreszcz, nie wiedział wprawdzie, o co tu rzecz właściwie idzie, ale przeczucie mówiło mu, iż się w takie rzeczy wdawać nie powinien; prosił przeto pokornie księcia, aby go od tej rzeczy uwolnić raczył.

„No, jeżeli ty szczególniejszy człowieku, nie chcesz wiedzieć o twojej przyszłości, to ja ci tego narzucać nie chcę. — Ale za to doktorze musisz nam co innego pokazać. Dawno już chciałem widzieć, w jakim położeniu śmierć mię zastanie. Jako dla wojkowego nie byłaby osobliwsza, zginąć na pobojuwisku. — Zawsześ mię zbywał gdyś mię prosił, abyś mię przedstawił w obrazie na katafalku złożonego, lecz dziś mię nie pozbędziesz, — pod niełaską, zabieraj się do pracy!“ —

Na próżno błagał Rejnhold, na próżno wymał się Astrolog; Książę stanowczo zażądał, a Seni musiał swą rzecz rozpocząć.

Zdaje mi się że tu powinienem bliżej zaznajomić czytelnika z tym tajemniczym włochem, który posiadał całe zaufanie Wallenstejna, tego męża, który tak trudno powierzał się innym.

Pochodzenie i dalsze stosunki Seniego są pokryte tajemnicą; znamy tylko jego imię, ojczyznę, i wielki wpływ, jaki wywierał przez Astrologię na wielkiego miłośnika gwiazdziarstwa, księcia Wallenstejna. Domyślać się godzi, że tego wpływu nie doszedł drogą czystej moralności, i że osobliwszej łatwości wierności Wallenstejna używał na własną swą korzyść, do celów sobie tylko wiadomych. W owym czasie panowało to upowszechnione mniemanie, że za pomocą czarów w zwierciadłach, albo w parze z roślin, można widzieć osobę własną; że kaci, stare baby, cygani posiadają takową czarnoksiężką sztukę; przez to postrach rzucali na lud i przyznać trzeba, iż bałamuctwy swemi wiele złego nabroili, choć w istocie nie mieli żadnego z diabłem związku, ale tylko za pomocą naturalnych środków, zwierciadeł rozmaitych, zręczności lub pomocników, kuglarstwami swemi durzyli i oszukiwali mniej baczących, lub wcale uprzedzonych ludzi. Tego rodzaju przykład zobaczysz, czytelniku, w tém, co nastąpi.

Że już poprzednio po kilkakrotnie nakazywał Wallenstein Seniemu, aby go pokazał

w takiej postaci, w jakiej go śmierć zaskoczy, miał tenże kuglarz dosyć czasu, aby się przysposobić do wykonania tego widowiska. Tym razem zbraniał się tylko dla pozorów, dla usunięcia wszelkiego podejrzenia; naglony, niby niechętnie zabrał się do pracy.

W jednym końcu swego gabinetu osadził Seni księcia na krześle; za nim postawił Rejnholda, aby był w bliskości swego pana; postąpił potem na środek i spuścił od sufitu aż do podłogi, wzdłuż całej izby sięgającą czarną zasłonę. Poczem rzekł do Księcia: „Jedynie rozkaz Waszój Ks. Mości mógł mię spowodować do rozkazania tajemniczym siłom, które lubo niechętnie, muszą przecież ulegać rozkazom mistrza. Wszakże usilnie proszę, ażebyś z miejsca nieruszył się i żadnego wyrazu nie wymówił, choćby się jak najokropniejsze pojawiły widoki, boby to mogło nas wszystkich zgubić; rzecz bowiem bardzo niebezpieczną przedsięwierzemy. — Także proszę WKs. Mości, ażebyś mi za złe tego nie wziął, jeżliby sztuka moja wywołała jaki okropny pojaw.“

„Na to masz moje słowo! — Rejnholdzie bądźże spokojnym; ja wiem, że ty mi dobrze

życzysz, ale ja chcę koniecznie widzieć.—
Seni rozpoczynaj!“—

Seni wsunął się śpiesznie za zasłonę. Głębokie milczenie nastąpiło; lampa po lampie gasła; zewnątrz powstał przeraźliwy wicher, okna brzmiały pod nawałem powietrza, błyskawica bladym światłem przerywała ciemności. Po kilku minutach ustała burza, słabe światło rozszerzyło się po zasłonie, która zwolna podnosiła się w górę. — Gęsty i ruchliwy obłok zakrył głąb, wprzodku leżał Seni, jakby czarodziejską siłą o ziemię rzucony w straszliwych konwulsjach. Obłok zgęszczał się coraz więcej, aż wreszcie zjawiała się postać mężczyzny, leżącego na bogatym łożu. Rejnhold zadrżał bo to był oczywisty obraz Wallenstejna, tylko że twarz zdawała się być znacznie starsza. Korona królewska błyszczała na głowie, oczy były zamknięte, a ręce złożone na hermelinowym płaszczu, który całą tę osobę okrywał. Im dalej, tém wyraźniejszem było to zjawisko. Rejnhold spojrzał na księcia, który z założonemi rękami wpatrywał się w obraz, który zwolna niknął w mgle. — Zasłona spadła, lampy poczęły znowu jasno przyświecać, ale

długo jeszcze siedział Wallenstejn w milczeniu.

Pokazał się w końcu Astronom; książę powstał i z szczególnem wzruszeniem rzekł do niego: „Więc zgodnie z gwiazdami..... Zaiste skroń Frydlandczyka, nie jest niego-dną korony. Tym czasem jestem twoim dłużnikiem doktorze!“

Z miną najpokorniejszą skłonił się Seni, a książę z paziem wrócił na swoje pokoje.

Gdy Rejnhold czynił u księcia służbę przy rozbieraniu się, uważał iż nie ma złotego łańcucha od orderu złotego runa, który zawsze nosił na szyi, a był pewnym że przy-szedłszy do Seniego był takowym ozdobiony. Zwrócił na to księcia uwagę, który mu roz-kazał iść na obserwatorium, zapewniając, że go tam znajdzie. W parę minut stanął Rejnhold pod drzwiami mieszkania Astrolo-ga, i śpiesznie wszedł do niego.

Seni był zajęty czyszczeniem kilku okrągłych zwierciadeł; w głębi pokoju spostrzegł z podziwieniem swoim Rejnhold, obraz na szkle malowany ten sam, który dopiero co w tajemniczy sposób przedstawiony był księciu. Jakby piorunem uderzony przeląkł się

oszust nagłym wejściem pazia, ale spostrzegłszy się, spuścił zasłonę i rzekł porywczo: „A cóżto za ciekawość prowadzi panicza w to miejsce? Czy nie wie, że tylko z szczególnego zlecenia pana swego znajdować się tu może? — Takie przekroczenia, gdybym się użalił, nie uszłyby bezkarnie!“

„Nie gniewajcież się mój uczony panie, — odrzekł paż z uśmiechem; pewno że nie z ciekawości, lecz na wyraźny rozkaz książęcy tu przyszedłem. Otóż jest to czego szukałem! Oto ten łańcuch zsunął się z szyi księcia, a ja po niego jestem posłany. Zresztą możecie być pewnym, że mnie wasze zatrudnienie najmniej obchodzi; z méj strony możecie być zupełnie spokojny. — Do widzenia!“ —

Skoro Rejnhold odszedł, Seni schwycił się za głowę i rzekł: „Tego też tu jeszcze brakło na dworze! — Ale poczekajno paniczku! — Seni da ci do zgryzienia twardy orzeszek, popamiętasz ty!“ —

Złością przejęty kończył swoje zatrudnienia, a przemyślał, jak zgubić Rejnholda. Był on jego współzawodnikiem w łaskach u księcia, i mógł tylko w porozumieniu z nim być mu korzystnym; ale porozumieć się z o-

szustem nie chciał uczciwie myśłący młodzieniec; Seni wnosił, że spostrzeżony obraz wprowadzi mądrego młodzieńca na podejrzenie o oszukaństwo; nim spostrzeżenie wydać zdoła, trzeba było sprzątnąć go ze świata.

ROZDZIAŁ XIII.

Trucizna.

Ciemna noc okryła miasto Pragę, zimny wiatr świstał po ulicach, pojedyncze krople dżdżu padały na twarz mężczyzny w wielki płaszcz owiniętego, który zmierzał ku małej furtce prowadzącej za mury miasta po lewym brzegu Motławy. — Postawiony tam na straży żołnierz przepuścił przechodnia bez najmniejszego oporu, gdy mu coś przechodząc powiedział. — Za murami będąc szedł przez pole, aż po półgodzinnym pochodzie stanął przed bramą w starych murach znajdującą się. Uderzył trzcina w bramę i obudził psy, które przychodnia szczekaniem powitały. Silny głos nakazał psom milczenie, i nawet zaskrzypiał klucz w zamku bramy, opadły że-

lazne zapory, drzwi się uchyliły, i ukazał się w nich rosły, barczysty człowiek z latarnią w ręku.

„Witajcie mistrzu Leitwarcie,“ odezwał się przychodzień.

„Ach, to pan Doktor; w tak późnej porze, i przy takim powietrzu! — Witam serdecznie i proszę do mego nędznego domku; usprawiedliwiać nie będę mojego nieporządku, bo p. Doktor wiesz, gdzie jesteś.“

Z uszanowaniem przyświecał przez podwórze prowadząc gościa. Po stronach stały budki z których ogromne wyglądały psiska, warcząc na przychodnia; tu i owdzie leżały porozrzucane rozmaite kościotrupy, jako głosiciele rzemiosła, którym się zatrudniał tujejszy mieszkaniec.

Seni — bo to był ten przychodzień — szedł obojętny na takowy widok, jakby z tem miejscem z dawna obeznany. Przed domem stanawszy rzekł do gospodarza: „Chcę z tobą mistrzu sam na sam pomówić.“

„Dobrze — odrzekł zagadnięty — a dobywszy klucza z kapoty otworzył drzwi do osobnej izby, która grubo wapnem wyrzucone mając ściany, mieściła w sobie poroz-

wieszane rozmaitego rodzaju miecze, topory, pałasze i podobne narzędzia męczarni, świadczące że tu kat mięszka; w oddaleniu od miasta jako ten, którego i rzemiosło ckliwością ludzi przejmowało, i mniemane czarno-księstwo kazało ze zgrozą unikać.

Poufale zasiadł Astrolog przy dębowym stole obok posępnego człowieka, i bez ogródki tak się odezwał: „Wiedz mistrzu, że mię ważna rzecz do ciebie dziś sprowadziła. — Przed dwoma laty udzieliłem ci przepis do lekarstwa na sen, — rozumiesz mię! — Tego właśnie teraz potrzebuję; u siebie robić tego nie mogę, i spodziewam się, że ten proszek posiadasz. Usługa jest warta nagrody, otóż tu masz parę węgierskich.“

Kat ugrzeczniony złotem, powstał otworzył szafkę, dobył flaszeczki z białym proszkiem i odrzekł: Oto jest czego żądasz; — będzie tu więcej jak potrzeba. Ale ostrożnie bo to.....:“

„No, no! — Seni będzie wiedział, jak się z tem obchodzić.“ Schował flaszeczkę w płaszcz i dodał: „Jeżeli kiedy potrzebować będziesz mojej usługi, bądź jej pewnym;

w każdym razie znajdziesz mię gotowym. Co się zresztą tyczy sekretu, proszę go ściśle dochować.“

„To się samo przez się rozumie, iżbym ja za niedochowanie takowego najwięcej ucierpiał. — Wszakże my się już od dawna znamy.“

Pożegnały się te dwa narzędzia piekła; a Seni wrócił do miasta.

„Cóżto kawalerze? patrzysz się na mnie, jak gdyby na głównego twego nieprzyjaciela, gdy ja tymczasem jak najżyczliwsze dla ciebie mam chęci.“ — Tak mówił Seni do Rejnholda, w kilka dni po owym zdybaniu włocho na oszukaństwie. Bo młodzieniec bardzo słusznie sądził, że Astrolog swemi kuglarstwy oszukuje księcia; do tego wniosku dosyć było rozsądnemu dojrzeć ów na szkle malowany obraz Wallenstejna umierającego, żeby pojąć, że ten sam za pomocą szkieł okazany był w parze. — Jako prosto myślący nie tał się ze swém mniemaniem i pogardą dla oszusta, lubo roztropniej byłby uczynił gdyby nie dawał być poznać włochowi, że zbadał jego tajemnicę, ile że to

spozrzeżenie było powodem do okrutnej zemsty.

„Cóż ja takiego mogłem ci uczynić, żebyś mię tak unikał, a gdy cię gdzie zdybie, cóż to tak na mię posępnie spoglądasz? — Nie znam tego do siebie, iżbym ci w czem uchybił; a jeżeli jakie bajeczki doszły wiedzy twojej, wierz mi, że na całym dworze księcia lepszego przyjaciela nade mnie nie masz. Masz kochanku w sobie coś takiego, co mnie ciągnie do ciebie i wiąże z tobą, i dla tego też to jest mi tak bolesno, tak niezdolnie, że jesteś dla mnie tak zimnym, i tak pogardliwym nawet. — Jeżeli by to było przyczyną, żem w ów wiadomy ci wieczór, trochę był worywczy; o! przypisz to starego włocha słabości i umęczeniu, boć widziałeś sam, jak byłem w ów czas dręczony od złego ducha. Wybacz! proszę serdecznie! — Daj rękę na znak zgody!“

Młodzieniec oszałamiony tak gładką obłudą włocha, podał rękę.

„No tak dobrze! Teraz dopiero czuję, że moje serce lżejsze, bo spadło zeń to co mię dręczyło. — A teraz jeszcze jedną mam do ciebie prośbę. Książę przysłał mi dziś parę

butelek doskonałego węgryna, na opieczę-
towanie naszej zgody wypijemy dziś wieczór
po szklance. Jeżeli ci to będzie po myśli,
przyjdę wieczorem po służbie do twojej stan-
cyi, wypijemy sobie, i pogawędzimy w miłej
zgodzie i jedności. Dobrze?”

Młodzieniec nie mógł wymówić się, i ze-
zwolił na żądanie. —

Po wyjściu Seniego, przemyślał Rejn-
hold nad tém, co by takie oświadczenia przy-
jaźni, które dopiero słyszał, znaczyć miały.
Zdybawszy raz na oszukaństwie Astrologa,
nie mógł wierzyć, że jego oświadczenia są
rzetelne, domyślał się, że mogą mieć jakiś
cel nieczny. — Z takich rozmyślań powstała
jakaś trwoga, jakieś niemiłe przeczucie; o-
tworzył okno wychodzące na sad pałacowy,
aby się trochę ochłodzić, wsparł się na ok-
nie, a jego duch uleciał do pustyni, stanął
obok dziadka, wpatrywał się w niego, wi-
dział jak on modli się za jego pomyślność
i wreszcie pomyślał sobie: „Nie! Bóg, któ-
remu wiernie służę ile zdołam, ubłagany
modławi tego świętego starca nie dopuści,
żeby mi złość szkodzić mogła!

Lekkie uderzenie po ramieniu, przerwało

jego dumanie; obrócił się i mimowolnie wzdrygnął się spostrzegłszy przy sobie Seniego; który przepraszając za przeszkodzenie dobył z płaszcza dwie butelki i dwa kryształowe kieliszki mówiąc: „Jeżeli mi pozwolisz rozgoszczę się w twojej stancyi, w niedostatku kredencerja, przyjmę sam na siebie ten urząd. Sądzę, że skoro skosztujesz, znajdą się myśli wesołe i rozpędzą smętne dumania. Siadajmy: — butelki są mocno zamknięte, nie tak łatwo je otworzyć; wybacz jeżeli stary długo się mozolić będzie.“

Rejnhold przystawił krzesła do stołu, siedli; astrologowi odkorkowanie butelek szło w istocie niezgrabnie; kieliszek Rejnholda nie zdawał mu się być dość czysty, wytarł go, i wreszcie po przewlekłym krzątaniu, gdy Rejnhold mało nań zważał zamyślony patrząc przed siebie, Seni sypnął w kieliszek proszek trucizny, nalał wina, zamieszał i podał mu jeden, sam schwycił za drugi i rzekł: „Otóż kawalerze! wypijmy na pomyślność przyszłości. — Porzuć te dumania; życie jest tak krótkie, tak lotne, że oczewiście niknie, i wnet stanie człowiek u grobu; po cóż to krótkie życie mącić posę-

pnością? — Używajmy nadarżających się chwil niewinnych rozkoszy, jak niniejsza! Oto cię wyzywam, odpowiedz mi jak uczciwy Kawaler.“

Niepodejrzliwy Rejnhold, pochwyił za zabójczy napój, i z uśmiechem trącił kielich Seniego. Zabrzęczały kielichy, ale tonem konania; Rejnholda kielich pękł, i rozlał się napój na posadzkę. — Opatrzność czuwająca nad niewinnym zniweczyła zamachy piekła; Rejnhold ocalony! Seni zamilkł pomieszany, złorzecząc przypadkowi. — Mając zajętą głowę mactwami, pełniąc dotąd bezkarne łotrostwa, uwierzył nareszcie, że Bóg nie wchodzi w drobnostki świata tego, lecz dzieje się wszystko przypadkiem, trafem, losem.... Filozofia niegodziwców! —

Rejnhold, nie zwykły źle sądzić o bliźnim bez słuszych przyczyn, bynajmniej nie przeczuwał, z jakiego niebezpieczeństwa ocalonym został; dobył swego srebnego kubka, i rzekł do Seniego: „Niech was to mistrzu nie frasuje; pewnie to moja wina, że kształtny wasz kryształ stłuczony; dla tego przyjmijcie ten kubek w nagrodę, a ja będę pił z waszego kielicha. — Zapomnijmy o tem co

zaszło i bądźmy wesołymi!“ — Nalał pięknie wyrobiony kubek, podał go Seniemu, który jako doskonały obłudnik, umiał stłumić w sobie zmartwienie z poniesionego nieszczęścia, i wdzięczyc się do towarzysza. —

Kilka godzin zeszło na biesiadzie, a Seni tak pięknie i uczono rozmawiał, że Rejnhold, gdy się żegnali, robił sobie wyrzuty, iż mógł takiego męża źle sądzić; gdy Seni wróciwszy do siebie przemyślał, jakimby sposobem zgubić niewinnego. Szczęściem nie podarzyła się żadna sposobność do wykonania złośliwego zamiaru, o ile że nie wolno było zbrodni przeciąć drogę powołania Rejnholda.

ROZDZIAŁ XIV.

P o ż e g n a n i e.

W pałacu księcia Frydlandu był wielki ruch; bo Cesarz uznawszy, że sława Wallenstejna zdolna orzeźwić zwątląłe obroty wojenne, oddał mu buławę powtórnie. Pozdrażał się pozornie Książę, ale ujawszy dzielną swą ręką stér, rzucił popłoch po nieprzyjaźnych katolicyzmowi Niemcach, a wskrzesił męstwo strony katolickiej. Ze wszystkich stron gromadziło się wojsko pod jego niewzyciężone znaki; każdy chciał pod jego okiem walczyć. Kuryerowie, oficerowie wszelkiej broni tłumami uwijali się po pałacu; a Wallenstejn niezmordowany w swoich czynnościach rozsyłał rozkazy na wszystkie strony.

Rejnhold zapatrywał się na to wszystko z największą radością, bo był przekonany,

iż z Księciem pójdzie na pole walki i sławy; walki, utarczki i zwycięstwa przepełniały jego głowę. Inie omyliły go te rachuby; pewnego dnia przywołał go książę przed siebie; wszedł, a Wallenstein otoczony Jenerałami, tak się doń odezwał: „Rejnholdzie, jakże ci się podoba to ruchliwe życie na dworze? — Nie prawda, że ci to miléj, jak w spokoju ślęczyć. — Za tydzień wyruszymy w pole, a ty mi towarzyszyć będziesz. Początkowo będziesz przy mym boku, później odeszłé cię do twego ojca. A cóż ty na to?”

Rejnhold podziękował Księciu za łaskawe względy; ten zaś obrócił się do oficerów i rzekł: „Przedstawiam wam moi Panowie młodego wojaka, o którym mam przekonanie, że zyszcze wasz szacunek. — Za twój ostatni mężny czyn, winienem ci nagrodę, znajdziesz ją w twojém pomieszkaniu, idź i przypatrz się darowi.“

Skłoniwszy się Rejnhold, wyszedł i spieszył do swego pomieszkania; tu znalazł ślnięcą się zbroję. Hełm bogato ozdobiony piórami; pancerz i pałasz roboty medjolańskiego mistrza, która pod ów czas dla swéj dobroci i ozdób, równo ze złotem ważona była. By-

łoto zwyczajem Wallenstejna, wyrządzoną sobie przysługę ze zbytkiem nagradzać, a to jest historyczną prawdą, że darowizny niżej tysiąca złotych nie robił. Leżący przy tém wszystkim własnoręczny bilet Księcia uwiadamtł Rejnholda, że do tego uzbrojenia należy para koni z całkowitą kulbaką, które w podwórzu czekały na swego pana.

Młodzieniec tęsknił za godziną wyjazdu do obozu, bo wszakci tam miał znaleźć ojca, którego czułą miłością synowską kochał, a jeszcze go nie znał; pod jego okiem miał walczyć, mężny i odważny wiedział, że pozyska ojca zadowolenie. Wszakże przedewszystkiem należało odwiedzić dziadka i z nim się pożegnać. Gdy zyskał od Wallenstejna na ten koniec pozwolenie, wyjechał konno pełen radości w strony, w których odebrał wychowanie.

Jeszcze z daleka wyciągnął pustelnik swe ręce, spostrzegłszy drogiego sercu swemu młodzieńca; który skoczywszy zręcznie z spienionego rumaka rzucił się w jego objęcia. — Więcej niż przed rokiem Rejnhold opuścił pustynię, a przecież dziś wszedł do niej z rzeczywistym uniesieniem serca; ty-

siące miłych wspomnień odżyły w duchu jego i w duchu rozczulonego starca. — Gdy pod wieczór udali się do wsi, aby odwiedzić swoich znajomych a osobliwie proboszcza, wieśniacy witali Rejnholda z uniesieniem, kiedy ludzkim i uprzejmem obchodzeniem się z nimi ośmielił ich do tego. Wszedł Rejnhold cichaczem do stancyi starego proboszcza, zastał go siedzącego w krześle, zajętego czytaniem; stanął nie chcąc przerywać, aż proboszcz podniosłszy oczy w górę spostrzegł go, a po długiem dopiero przypatrywaniu się poznawszy, z ogniem młodzieńca powstał i z radosnym uniesieniem wykrzyknął: „A witajże mój drogi synu! — Przystąp, niech cię uścisknę, ty, za którym tak często tęskniłem! — Jakżeś pięknie urosł! — Jakżeś się stał nadobnym, aż mi się zdaje, że ci ubliżam, będąc ku tobie z dawną poufałością; aleć ty staremu przyjacielowi wybaczysz!“ —

„Szanowny proboszczu! ubliżyłbyś mi tem, gdybyś sądził, żem się odmienił, na mniej czułego i w mniej wdzięcznego. — O ja nie zapomniałem i niezapomnę, iż jako niedołęzne dziecię spoczywałem na twém

łonie; iż dałeś mi i dziadkowi memu, gdy nas prześladowano przytułek; iż ze mną obchodziłeś się jak prawy przyjaciel i ojciec. Miałżebyś ja to z wzrostem i powierzchowną odmianą, stracić piękne przymioty duszy? — O nie! to poczytałbym sobie za wielkie spó-dlenie siebie.“ —

„No, no, Rejnholdzie! jać tak źle o tobie nie myślałem nigdy, zwłaszcza że z tego, co mi o tobie dziadek tedy i owedy powiadał, utwierdziłem się w przekonaniu o nieskazi-telności twego serca. — Kto ma w duszy swój założony dobry fundament, kto mówię-wiarę ma mocną i do niej jest szczerze przy-wiązany, ten może się z zaufaniem rzucić w odmęt świata tego; nie zginie! — Ale komu tego niedostaje, ten się łatwo połknie, upadnie, bo grzech chodzi w postaciach po-wabnych, ma tysiące sposobów ułudzenia, osobliwie tych, co mają puste serca i głowy. Ale opowiedz że mi, jak ci się powodziło na dworze Księcia?“

— Młodzieniec czyniąc zadosyć życzeniu starca, obszernie opowiedział przypadki swo-je: a gdy skończył, proboszcz poważnie po-

kręcił głową i dodał: „Rejnholdzie wszystko to dobrze i pięknie, ale ta historia z Senim niepodoba mi się; on ma coś złego na myśli; strzeż się tego człowieka! — Do obozu pewnie z wami nie pójdzie, więc tam będziesz bezpiecznym. — Zresztą widzę, że ten włoski bałamut i księciu nie jest przychylny; on go tylko zwodzi i oszukuje; a pewnie go w końcu zgubi. Nie wiesz pewnie warunków, pod którymi Wallenstejn przyjął dowództwo; dziadek mi one opowiedział, i doprawdy są bardzo wielkie. Żadna władza nie może mu w interessach wojennych rozkazywać: może wynieść, może i zrzucić, kiedy i kogo zechce. Całe Meklemburskie dane mu w zastaw za summy, które dotąd wydał. Krótko mówiąc żądania jego były takie, że trudno rozstrzygnąć, kto pan, a kto poddany. Cóż tu Cesarz miał robić? — Wallenstejn tylko jedyny jest mąż, który kraj tak wielu i znakomitemi nieprzyjaciołmi zagrożony, ocalić jest zdolny, bo i wojak i dyplomata potemu. Żeby tylko duma nieograniczona, podsycana nadto kuglarstwami Seniego, nie zawróciła mu głowy, a on nie zszedł z drogi uczciwego obywatela. Ja się

tego bardzo obawiam! Bo powiedzno sam, cóżbyto Seni mógł mieć w tém za zamiar, iż pokazał mu skon życia w koronie i hermelinach? — Nie inny, tylko aby chciwemu sławy wskazać cel, do którego dążyć może tylko człowiek, który chce monarchę i kraj zdradzić. Przecież nie sądźmy, żeby Książę tyłu szlachetnemi wsławiony czynami, mógł się tak dalece zapomnieć.“ —

Ale przestańmy o tém; a teraz mój drogi synu powiem słowo do ciebie. — Bóg wie, jak długo jeszcze szarzać się będę na tym świecie; ale mój siwy włos przestrzega mię, że po krótku trzeba się będzie przenieść do wieczności. Pamiętaj więc Rejnholdzie na słowa dogorywającego już starca, gdy się rzucisz w zawód wojenny. Wystawisz tam nie raz na niebezpieczeństwo życie; nie czyń tego lekkomyślnie, bez koniecznej potrzeby, li dla zuchostwa tylko. Bądź tam zawsze w takim położeniu co do sumienia, iżbyś bez obawy stanąć mógł przed sądem Bożym! — Nie zapomnij też i o tém, że tam masz znaleźć twego ojca, żebyś, przed nim stanął jako uczciwy człowiek, jako godny katolik; tak się zachowuj, żeby ci sumienie

mogło dać świadectwo, żeś się w niczem nie zepsuł.“

Przycisnął starzec Rejnholda do serca, a ten ukląkwszy prosił sługi Bożego o błogosławieństwo. Na klęczącego głowę położył kapłan swe dłonie i tak się modlił: „Ojcze łaskawy i Boże wielki! rzuć twoje łaskawe oko na tego młodzieńca, który tu oto klęczy. Bądź mu miłościwym i łaskawym, ażeby postępowanie jego było według twej świętej myśli, a tak ażeby zyskał sobie Twoję miłość i szacunek u ludzi. — Twoja ręka, potężny Boże! niech go prowadzi w niebezpieczeństwach wojny i strzeże wśród nieprzyjacielskich kul i mieczów, iżby zachowany twą łaską w długie lata, zsiwiałą późnym wiekiem głowę złożył w trumnie. — Ucz go ludzkości, ażeby nigdy nie dobył miecza przeciw słabym i bezbronnym; zachowaj jego łagodność, którąś serce jego obdarzył, ażeby nikt od niego na próżno nie żebrał odpuszczenia win a tą drogą i on uskarbił sobie od Ciebie odpuszczenie grzechów, do których niedołężność tak łatwo przywodzi człowieka.“

„Amen“ — dodał pustelnik który już od

chwili ze złożonemi rękami stał za nimi. — „Wielkie Rejnholdzie odebrałeś wiano z ust sprawiedliwego, bądź zawsze niego godnym. — Wam szanowny ojciec dziękuje serdecznie za dane błogosławieństwo, i spodziewam się, że ono wyda obfity owoc.“ Trzej ci poczciwi ludzie siedzieli społem, aż dopokąd nachylające się ku zachodowi słońce nie ostrzegło ich, że nadszedł czas rozstania się: tedy Walenty wezwał swego wychowawcę do powrotu. Pożegnanie z proboszczem było serdeczne i tkliwe; starzec nie chciał Rejnholda puścić, aż tenże prawie siłą wyrwał się z rąk jego.

Rejnhold przespał noc ostatnią w pustyni na dawnym swoim posłaniu z mechu, które miłszem mu było nad wszystkie dworskie wygody. Skoro dzień poczęło, powstał i wyszedł pożegnać z dawna ulubione swoje miejsca. Miłe wspomnienia rozczulały jego serce, piękność poranku unosiła jego ducha, ptastwem pieniem radosnem usposabiało do oddania czci Najwyższemu Panu, ukląkł więc na kwiecistém wzgórzu do którego doszedł, a na którém z dawna zwykł był odprawiać swe modlitwy, i w czułej modlitwie złożył cześć Stwórcy swemu.

Pokrzepiony modlitwą wrócił do pustyni, gdzie starzec jeszcze swobodnego snu używał. Nie śmiał go przebudzić i wpatrywał się w tę twarz, tchnącą swobodą aż starzec sam odecknął się i powitał go z przyjacielskim zarzutem, czemu go prędej nie przebudził, — mianowicie, że się pośpieszyć należy, aby nie przekroczyć danego od Księcia pozwolenia, które z tym dniem kończy się.

Pożegnanie było z obu stron bardzo bolesne; troskliwość pustelnika o powodzenie swego wychowanka wśród szczęku broni, bardzo wielka, przeto cieszył siebie i młodzieńca zapewnieniem, że się znajdzie na placu bitwy, a przeto pożegnanie niniejsze jest tylko tymczasowe. — „I tam, mówił starzec, można być dobroczynnym, choć bez zbroi. Ranni, chorzy, potrzebują usługi, a tej ja się chcę poświęcić. — Nie jak rycerza, ale w tym samym co obecnie ubiorze, zobaczysz mię na polu walki.“

Długie uściśnienie zakończyło pożegnanie. Rejnhold dosiadł konia i wrócił do Pragi.

ROZDZIAŁ XV.

Obóz pod Norenbergą.

Wallenstein przyjął naczelne dowództwo nad wojskiem cesarskiem. Stał on obecnie nierównie wyżej niż dawniej, bo jego władza była nieograniczona. Żołnierz znał tylko jego przewodnictwo i właściwie walczył tylko za wodza, który go chojnie wynagradzał, ale też i występnego nieubłagalnie karał. Znakomitość żołdu, zwabiała ludzi tysiącami, a chojna żywność, którą włościanin dostarczać musiał, była dlań pokusą, że rzucił pług, a wojskowości poświęcił się. — Z prywatnego skarbu swego wyliczył Wallenstein dwakroć stotysięcy talarów, aby przyspieszyć uzbrojenie wojska, z książecą chojnością wspierał niemających oficerów: z jego

rąk odbierali, pieniądze, broń i konie. Uczucie wdzięczności, widok sławy i łupów, zgromadziły około niego wielką liczbę ludu, i rzeczywiście z wodzem związały.

Pod Norenbergą zajął Książę z wojskiem swoim obronny obóz, i zagroził miastu zniszczeniem. Gustaw Adolf, Król Szwedzki, przez talent wojenny, męstwo i doświadczenie godny Wallenstejna przeciwnik, dowiedziawszy się o oblężeniu, pośpieszył sprzymierzonemu miastu z całą swą siłą na pomoc. Najpierwsza rzecz, którą przedsięwziął, było umocnienie miasta; tysiące ludzi pracowało we dnie i w nocy, nad sypaniem wałów i szanieców w około miasta na przeciw nieprzyjaciołom. Ośm stóp głęboki, dwanaście szeroki rów, otaczał wszystkie wały, warownie, reduty i baszty, które, przy gorliwości obywateli, w krótkim bardzo stanęły czasie, bo w siedm dni mogło wojsko zająć obronny obóz, a w czternaście dni wszystko było gotowe.

Na stromych wzgórzach między Bobrem i Rednicą, starém zamczyskiem zwanych, rozłożył się Wallenstein z główną swoją siłą, a po obu stronach rozpościerał się okiem

nieprzejrany obóz. Głębokie rowy, wysokie palisadami obwarowane wały, — zasieki, czyniły obóz ten niezdobyty, w którym cesarski naczelnik siedział spokojnie i z którego dawał na wszystkie strony rozkazy.

Mimo staranności rady miasta, która za wczasu napełniła śpichlerze zbożem i potrzebną żywnością, wdzierał się przecież coraz dotkliwiej niedostatek do miasta; przeto Król Szwedzki wysyłał oddziały swego wojska w odleglejszą nawet okolicę po żywność dla ludzi i bydła; przy takich sposobnościach ścierały się takowe wojskowe oddziały z Frydlandczykami, a mocniejsi odnosili zwycięstwo nad słabszymi.

Ze zlecenia Wallenstejna wyjechał Rejnhold, — już wówczas kapitan strzelców do znacznie od obozu oddalonego posterunku. Zadumany nad srogościami wojny, mówił sam do siebie: „Wielki Boże! możeż to być zgodne z Twoją ś. wolą, żeby człowiek, Twoje najszlachetniejsze stworzenie, tę opatrnością Twoją tak przyozdobioną ziemię niszczył i krwią swą zlewał? — Czyżto nie mógłby jeden obok drugiego żyć spokojnie i używać Twych darów? — Ale nie,

mocniejszy napada z okrucieństwem słabszego; dom jego zapala, i równie starca, jak niedołążną sierotę wypędza w świat, aby chciwość swoją zaspokoić. — Boże zmiłuj się nademną, ażebym ja podobnemi okrucieństwami nie splamił rąk moich!“

Tak sobie dumał cnotliwy Rejnhold, jadąc przez długie szeregi namiotów, przed którymi z obu stron żołnierstwo roіło się; tu w około bębna zgromadzeni grali w kości; tam opili Wallonowie taczali się złorzeczając i bluźniąc; konie biegały urwawszy się z uździenic po obozie, a za nimi z krzykiem jeźdźcy. Tylko gdy oficera spostrzegli, stawali żołnierze jak wryci, bo Książę Frydlandczyk żądał jak najściślejszej subordynacyi, choć z drugiej strony wszystkiego żołnierzom pozwalał zapewniając, że żołnierz za swe trudy musi być wynagrodzonym.

Już Rejnhold minął obóz i spieszył na bliskie wzgórze, ku celowi swęj podróży, gdy usłyszał w bliskości zgiełg, zwrócił w tamtę stronę swój wzrok, i spostrzegł tłum furażujących Kroatów, w niebardzo odległych, porozrzucanych po polu chałupach; właśnie stanęło jedno z takowych

gburstw w płomieniach. Nie namyślając się wiele, powodowany litością nad nieszczęśliwymi Rejnhold, pędził cwałem do miejsca, gdzie te okrucieństwa się działy. Jakże okropny widok przedstawił się oczom jego! Z dzikością rozjuszonych zwierząt, okładali Kroaci pałaszami mieszkańców, wypędzając ich z własności. Jedni wywłoczyli z chałup to wszystko, co im się tylko podobało: krowy, konie, owce posprzęgane, aby je odprowadzić; — drudzy wyrządzali najszkaradniejsze okrucieństwa właścicielom zrabowanego majątku. Przed domem, w płomieniach stojącym stali w kółku brodaci żołnierze, z którego przeraźliwy jęk rozdzierał uszy Rejnholda.

Tam pospieszył groźnie, a żołnierze jakby piorunem rażeni stanęli, bo oko młodzieńca pałało gniewiem i oburzeniem na widok okrucieństw tu spełnionych: starzec zsiwiał jęczy tamując krew z głowy płynącą; wybladła kobieta, pewnie córka poranionego mdleje nad umierającym; jej dwoje wynędzniałych dzieci wydają przerażający wrzask; obok nich leży młody, silny mężczyzna włócznią na wskroś przebity; wszyscy

legli w obronie własnej chudoby, padli ofiarą rozkiełznanych namiętności żołdactwa.

Piorunującym głosem zażądał Rejnhold odpowiedzialności od bandytów. „Należycie wy, mówił, do wojsk Wallenstejna, czy do bandy rozbójników? — Tak jak wy czynicie, palicie, kradniecie, rozbijacie, nie czynią żołnierze godni tego nazwiska, lecz rozbójnicy. Wstyd wam i hańba! — Kto wami komenderuje?”

„Ja panie kapitanie“ — odrzekł stary brodaty Kroat, stawiawszy się śmiało przed Rejnholdem. — Jestem wachmistrzem, jeżeli wiedzieć pragniesz. Gdyby ten siwek wraz z swoim synkiem nie był nam się opierał, gdyśmy dom jego przetrząsali, nie byłby mu i włos spadł z głowy; lecz jak chciał, tak ma.“

„I ty będąc na wyższym stopniu, nie uznajesz jeszcze krzywdy, jakąś tu oto uczynił? — Oddasz natychmiast pałasz, i wrócisz do obozu jako więzień. Sam Książę sądzić cię będzie!“

„Oh! za młodym jeszcze jesteś mój p. Kapitanie, żebyś mógł starym rozkazywać. Mało widać znasz Kroatów, gdy sądzisz, że

oni dobrowolnie broń oddadzą!“ I wymierzył swój krótki karabinek na Rejnholda, gotów w każdym momencie wystrzelić. Wszakże nim się niegodziwiec ten spostrzegł, już młodzieniec silném swem ramieniem wytrącił mu z rąk broń, uderzył o ziemię, a dobywszy pałasza zawołał na przytomnych: „W imieniu Księcia Frydlandu rozkazuję wam: wiążcie tego zbrodnia! — Kto nie posłucha rozkazu, zasłużył na karę śmierci!“

Ośłupieni stanęli towarzysze wachmistrza, kilku z nich przystąpiło i związało na ziemię powalonego. „Teraz wróćcie do obozu, zbrodnię oddajcie profossowi; a reszta niech czeka swego wyroku. Trzech z was zostanie tu, ażeby pod mojem okiem wniesć to wszystko na swoje miejsce, coście wywleki. Tego starca może jeszcze uratujemy, przenieście go z tego miejsca okropności, a ja będę miał nad nim pieczę.“

Żołnierze wykonali rozkaz, a ich serca przerażone były pogrożeniem kary, znali albowiem surowość wodza swego.

Starzec śmiertelnie w głowę raniony, jęczał na swem łożu; żona z dziećmi siedziała łzami zlana u nóg jego; a Rejnhold obmywał

i opatrywał ranę. Z wdzięcznością przyjmował cierpiący tę usługę, i mówił słabym głosem: „Nie zadawaj sobie panie tej pracy; ja widzę iż muszę umierać. — Niech ci Bóg nagrodzi twoje dobre serce. Nie wyrzuca mi sumienie żadnego występku prócz zwykłych ułomności ludzkich, które miłosierny Bóg zechce mi odpuścić; mam więc nadzieję, że mię Bóg nie odrzuci, lecz przyjmie miłościwie do swój chwały. Tam, będę go błagał, aby ci nagrodził twoją dobroczynność. — Zbliża się moja ostatnia godzina. — Bóże przyjmij ducha mego, — i daruj mi zbawienie.“ —

Tak skończył cierpienia. Rejnhold złożył ręce i zmówił pacierz za jego duszę; a obróciwszy się do pozostałej żony i sierot, i podawszy im sakiewki z pieniędzmi, rzekł: „Przyjm to odemnie w twej biedzie. — Zabierz twe dzieci i oddal się ztąd, bo tu tylko cię prześladowanie i nędza czeka. — Bogu cię oddaję.“

Gdy biedna kobieta dziękować chciała swemu dobroczyńcy, już on, dawszy koniowi ostrogi pędził tamdotąd, gdzie zlecenie Wallenstejna miał wykonać.

Dnia następującego zasiadł książę aby sądzić winowajców; przed nim stał drżący wachmistrz. — „Z którego pułku jesteś łotrze?“ zapytał groźnym głosem.

„Z pułku Isolaniego, panie.“

„Jenerale Isolani!“ zawołał książę; Jenerał gdy wystąpił z grona obecnych oficerów, taką usłyszał perorę: „Jenerale! licha karność w twoim pułku; wasi Kroaci warci nazwiska rozbójników, nie zaś cesarskich żołnierzy. — To musi być inaczej; ja niechcę dowodzić rozbójnikom. — Do rabunku jest wasz naród pierwszym; ale gdy przyjdzie nieprzyjacielowi zajrzeć w oczy, wtedy zwykle przed nim pierzcha. Ja ciebie Jenerale postawiłem nad tymi żołnierzami; bądź baczny na przestrzeganie karności, jak widzisz, że ja jestem, ażeby więcej takie nadużycia uszu moich nie doszły. — Wachmistrzu! wiele ludzi miałeś z sobą?“ —

„Dwadzieścia.“

„Jenerale! natychmiast wywiedzieć się, którzy byli; połowę rozstrzelić, drugą połowę związać, że kości im trzeszcząć będą. — A tego zbrodnia, co drzy jak tchórz, powiesić. —

Wyprowadzono wachmistrza. Wnet dały się słyszeć strzały, pozbawiające życia winowajców, a wachmistrza zaprowadzili koledzy do bliskiego lasu i powiesili na najpierwszém drzewie.

ROZDZIAŁ XVI.

~~~~~  
Ogłoszenie spóźnie

W gościnnej izbie przy bramie św. Jakuba w Augsburgu, siedział wieczorem znachorlika obywateli tamtejszych, gawędząc przy szklaneczkach wina. Zebrani tamni przewodniczyli mu w czarnej akademickiej opończy: kol-  
nierz koronkowy wyseki zdobił jego szary  
twarz była wypogodzona lekkiem uśmiechem  
ścisł; był to Jeremiasz Eppenthaler doktor  
medycyny i filozofii, czynny i wesoły, który le-  
żał w Augsburgu. Stał on już w powadze na  
wstępie wieku sędziwego, ale rześki i uprzej-  
my; był w publicznosci lubiany. Właśnie  
opowiadał pewne zdarzenie i miał tak wy-  
słuchaczy zajętych, że nagle przetrzasnęła  
drzwi i weszli do niego dwaj mężczyźni.

## ROZDZIAŁ XVI.

---

### Osobliwsze spotkanie.

W gościnnej izbie przy bramie św. Jakóba w Augsburgu, siedziała wieczorem znaczna liczba obywateli tamtejszych, gawędząc przy szklance wina. Zebraniu temu przewodniczył mąż w czarnej aksamitnej opończy: kołnierz koronkowy wysoki zdobił jego szyję; twarz była wypogodzona tchnąca uprzejmością; był to Jeremiasz Eppenthaler doktor medycyny i filozofii, czynny i wsławiony lekarz Augsburga. Stał on już w prawdzie na wstępie wieku sędziwego, ale rzeski i uprzejmy, był w publiczności lubiony. Właśnie opowiadał pewne zdarzenie i umiał tak swych słuchaczy zająć, że z największem natężeniem uważali na to, co opowiadał. „O jako

się ziszcza, mówił, że kogo raz grzech pochwyci, temu z trudnością przychodzi wydobyć się z jego niewoli. — Pożycie w zamku było coraz rozwioźlejsze: co stary hrabia oszczędził, z kąd znakomity powstał majątek, to poszło wszystko w ręce lichwiarzy. Kapitan Torelli, który w skutek zadawnionéj złości pałał zemstą ku teściowi swego przyjaciela, był tym złym duchem, który na Worozdynie pokutował. Młoda i nadobna hrabina, słuszenie można powiedzieć, ozdoda płci swojej, legła wnet pod ciosami niedoli, wynikłej z domowego nierządu. Przyjaciół mój szanowny ojciec Serafin, kapucyn, kapelan wówczas na Worozdynie, mimo straży Torrellego, znalazł sposobność do uwiadomienia hrabiego Czechina, który, jak powiedziałem poprzednio, stał pod Gradyską, o tém wszystkim co się na zamku działo. — To doniesienie spowodowało hrabię do Worozdyna parę godzin przed śmiercią córki. Możecie domyślić się, co cierpiał ojciec, jakie to wrażenie sprawiło na córce! Sztuka lekarska nic tu zdziałać nie mogła, pomimo że ja jako lekarz najchętniej przyłożyć się chciałem, i zdolności do tego dosyć posiadałem; skończyła

w objęciach dobrego ojca swego. Torelli zemknął już wprzód na widok starego hrabiego; a zięć hrabia Hildenhorst odebrawszy wiadomość o śmierci żony, o której niebezpieczeństwie wierzyć dotąd nie chciał, wpadł w rodzaj szaleństwa. Jedyną pociechę starego, było dziecię, które przed kilku dniami córka powiła. Z przychylności i na żądanie usilne hr. Czechina zostałem długi czas na zamku. Jednego wieczora będzie temu pewnie lat ośmnaście — “

Doktór przestał mówić, bo przed domem powstała jakaś gwałtowna wrzawa. Gościnnie wraz z służbą uwijał się i niebawem weszli dwaj znakomici podróżni, w obszernych płaszczach; pozdrowiwszy grzecznie przytomnych, zdjęli odzież podróżną, a nasze grono miało sposobność przypatrzenia się im bliżej. Jeden z przybyłych gości: był już wprawdzie we wieku, ale w jego twarzy widzieć można było ślady dawniej piękności, ciemne włosy, po wojskowemu podstrzyżona broda, nadawały mu powagi. Ubrany był jak wyższej rangi oficer: na złotym łańcuchu wisiał na piersiach jego portret cesarza, i odznaczały go austriackie kolory.

Drugi podobnie ubrany, był znacznie młodszy od pierwszego, uprzejmością odznaczała się twarz jego, a na wyniosłym jego czole zdawała się przebijać szlachetność, która uszanowanie nakazywała. Z cicha rozmawiali sobie przybysze, a mieszczenie gdy im się do sytości napatrzyli, prosili doktora, a-żeby swą powieść zechciał zakończyć; który zadosyć czyniąc życzeniom, opowiadał rozpoczętą historję, która zresztą moim czytelnikom jest wiadoma. Gdy przystąpił w opowiadaniu do okropności zaszłych na Worozdynie, gdy począł skreślać najście wieczorne, obronę zamku, jego pożar, podniósł swój głos tak, że goście siedzący przy przyległym stoliku każde jego słowo zrozumieć mogli. „Buchał płomień ogromny, prawił doktor, mury zamku z łoskotem się waliły, zgiełk bijących się, szczęk broni, przerażał uszy. Ja porwałem halabardę, i stanąłem w podziemnym kurytarzu, przez który Węgry wejść chcieli do zamku, z zamiarem bronięcia przystępu do upadłego; gdy w tym momencie przypomina mi się, że wnuk Czechina leży wśród gorejącego zamku. Bez wielkiego namysłu, oddaję halabardę obok stojącemu

słudze, nakazuję męstwo, a sam spieszę do izby, gdzie leżało dziecko. Już na wscho-  
dach uderzył mię dym; nie zważając na taką  
przeszkodę dążyłem do pokoju dziecięcia,  
i dobrze zrobiłem, bo piastunka z przestrachu  
odbiegła dziecko, które bez pomocy spo-  
czywając w łóžeczku; nie zawodnie byłoby  
padło ofiarą płomienia. Porwałem, szczę-  
ściem jeszcze nie naruszone i obwinąwszy  
w kołdrę biegłem śpiesznie, aby wydobyć  
się na dziedziniec. Tam spotkałem ojca ka-  
pelana, który w tej samej myśli chciał wejść  
do gorejącego zamku, lecz gdy się przekonał  
iż go uprzedziłem, ucieszony rzekł: „Dzięki  
Bogu, iż dziecko zabezpieczone! Teraz  
trzeba nam starego hrabiego wydobyć z nie-  
bezpieczeństwa. Przed kilku chwilami wi-  
działem, jak rzesko walczył przeciw rozbo-  
jom.“ Naradziliśmy się, co tu robić.— Wnet  
wpadłem do stajni, okulbaczyłem najdziel-  
niejszego konia; gdy kapelan wyszukał tym-  
czasem służącego; tego wysłaliśmy z koniem  
i dzieckiem za mury zamku w stronę prze-  
ciwną tej, gdzie walczono. Teraz trzeba było  
wyszukać hrabiego Czehina. Dopadłem ha-  
labardy, i nie bez walki zbliżyłem się z ojcem

Serafikiem do niego. Długo namawialiśmy go bezskutecznie, aby poprzestał boju, aż dopiero gdy kapelan przedstawił, iż winien zachować swe życie dla dziecka, i zapewnił, że to uratowane z pogorzeliska czeka nań za zamkiem, poprzestał boju, i udał się za nami. Z tkliwością pożegnał nas, wziął dziecię, dosiadł konia i lotem błyskawicy popędził przez pola do najbliższego boru. — Wróciliśmy do zamku, ażeby uratować z pogorzeliska coś z naszej własności, ale nadaremnie, przez płomień przedostać się nie można było. — Widząc próżne nasze usiłowania, wróciliśmy na dziedziniec i byliśmy świadkami okropnej sceny. Po dymiących zwaliskach zamku biegł z pałaszem w ręku hrabia Hildenhorst, a za nim trzech Węgrzynów; dzielnym uderzeniem pałasza powalił z nich dwóch; trzeci nie śmiał nacierać. Wolny od nieprzyjaciół przebiegł około nas i zniknął w pobliskim boru. Co się z nim stało, Bóg tylko wie o tem.“

Z wielkiem natężeniem słuchali dwaj podróżni tego opowiadania; starszy z nich mimowolnie zbliżył się do stołu, jego uwaga

rosła widocznie, i nie był zdolny pokryć wzruszenia, które w nim co raz więcej się wzmagало. Skoro doktor przestał mówić, przystąpił doń i zapytał namiętnie: „Nie umiałebyś mię mój panie oświecić, dokąd stary hrabia z wnukiem swym schronił się? Nie jestem ja bowiem obcym téj familii, o której właśnie opowiadałeś, i mam znaczny udział w jej losach!”

Z uszanowaniem powstał Doktor i oświadczył, że lubo w téj mierze nie omieszkął bliżej się oświecić, przecież nic pewnego się nie dowiedział. „Ciesz się to, dodał, że w osobie waszej, mam szczęście powitać przyjaciela nieszczęśliwego hrabiego, bo moje serce jeszcze dotąd pała uszanowaniem i miłością ku tak godnemu panu, jak ku tym wszystkim, którzy na Worozdynie mieszkali. Lubo osoba pańska jest mi nieznana, to przecież głos jego jest mi bardzo znany, bezwątpienia bawiłeś pan na tym tak sławnym z gościnności dworze.”

„Zaiste nie mylisz się mój panie, — odrzekł smutno zapytany, dawnemi czasami mieszkalem tam; a i pan znasz nieszczęśliwego,

który objeżdża cudze kraje szukając dziecka swego.“

„Wielki Boże! teraz poznaję.“

„Nie wymawiaj nazwiska mego. Pójdźmy na osobność, mam wiele do dowiedzenia się od tak szanownego świadka mojego nieszczęścia. Wszakże poświęcisz mi kilka chwil?“

Doktór przychylił się chętnie do żądania, a już upłynęła północna godzina, gdy jeszcze hrabia Werner z Hildenhorst, z przyjacielem swoim hr. Hardenbergem i Doktorem społem w osobnej siedzieli izbie, rozmawiając o zajęciach na Worozdynie i ich następstwach. Wiele sobie albowiem mieli do powiedzenia: hr. Hildenhorst tak mówił o swoim cudowném uratowaniu z płomieni Worozdyna: „Skrzydło zamku, w którym ja samotnie mieszkałem, później zapewne dopiero zajął płomień, bo jak zwykle tłukłem się w moim stanie chorobliwym po zamku, goniąc za marami wyobraźni, długo w noc nie wiedząc nic o pożarze, aż padłem omdlały przy głównych wschodach zamkowych. Gdym się z omdlenia odecknął, spostrzegłem że jestem wśród pogorzeliska: dopalające się belki spa-

dały z łoskotem, mury rozpalone pękały, moje włosy i suknie były opalone, ciało moje tu i owdzie zranione. Strachem przerażony porwałem się z posadzki i biegłem szukać otworu, którymbym wydostać się mógł z pożaru. Po kilka razy cofnęły mnie płomienie, aż przecieź znalazłem miejsce wolne od ognia. Sądziłem iż już jestem bezpiecznym, gdy widzę, że mię nieprzyjaciel ściga. Zrozpaczą broniłem życia, i gdym położył trupem kilku z najeźdźników uciekłem w bory. Niedługo stawało mi sił, wnet padłem wycieńczony natężeniem; zimny dreszcz przejął mię całego, słabo tylko biło serce w zziębłej piersi. Po dość długim czasie; podniosłem z całym wysileniem głowę, aby spojrzeć na Worozdyn; spostrzegłem na widnokręgu w okropnych płomieniach dogorywający zamek; po czym padłem jak nieżywy. W takimto stanie znalazł mię przyjaciel mój Hardenberg; na jego zamku i przy jego staranności przyszedłem do zdrowia; zdaje się, że to nieszczęście które przeżyłem, uleczyło moje obłąkanie. Tęsknota za moim synem i starym ojcem mój w Bogu zmarłej żony, wypędziła mię z przyjacielskiego domu. Po-

szedłem na sam przód do Rzymu, aby uzyskać u grobu świętych Apostołów odpuszczenie moich przewinień; potem tułałem się po różnych krajach, na próżno szukając drogiej sercu memu zguby. Ośmnaście lat minęło, jak samotny, opuszczony tułam się po tym świecie, że nie uległem dotąd pod brzemieniem czarnej rozpacz, winienem to mojemu przyjacielowi. Teraz idziemy do Norynbergi; aby wstąpić w szeregi Frydlandczyka; może Bóg da, że dobroczynna kula zakończy smutne dni życia mego! O moi przyjaciele! jakżebym ja mógł być szczęśliwym, gdybym był lepiej użył dni młodości życia mego. Nieszczęśliwy! przez zbytne zaufanie sobie samemu, pogardę ostróg przyjacielskich ustąpiłem sobie to łożo boleści, na którym okropnie jest spoczywać! Oby Bóg miłościwy przyjąć raczył moje cierpienia, a w życiu przynajmniej przyszedł, ukoić zechciał pragnienia duszy mojej!“

Boleścią znękany skłonił głowę na pierś przyjaciela, gdy przytomni wszelkich używali środków, aby smutnego pocieszyć. Długo jeszcze siedzieli razem, aż gdy Hildenhorsta smutek minął, a późna noc nakazała

doktorowi pożegnać podróżnych. Odszedł on zapewniając hrabiego, że może nad spodziewanie Bóg serce jego pocieszy, że zatem nadziei tracić nie należy.

Jak tylko dzień poczęło, wyjechali nasi wojacy bramą ku Norynberdze.

## ROZDZIAŁ XVII.

### S e n.

W głębokim śnie pogrążony spoczywał w swym namiocie Rejnhold, gdy wicher miotał na wszystkie strony lekką tą budową, i gął drążki, które ją wspierały; słabo oświecała tę sypialnię wisząca w środku lampka. — Sen młodzieńca zdawał się być nie najlepszym: pierś wzdymała się gwałtownie, urywkowo wymawiane wyrazy zdradzały jakąś trwogę, na zwykle łagodnej twarzy, malował się przestach.

Lekko rozsunała się zasłona, i wszedł do namiotu pustelnik; wpatrywał się starzec ze współczuciem w niespokojenie śpiącego, i żeby przerwać męczarnie młodzieńca, obudził go. Porwał się przebudzony i siadł na

łóżku, rzucając dziki wzrok na wszystkie strony; uspokoiwszy się cokolwiek, i widząc, że stoi przy nim drogi jego dziadek, przemówił radośnie: „Dzięki Bogu, że jesteś przy mnie ojcze! Ach! ja miałem sen okropny! Siądź obok mnie, bo mię jeszcze przejmuję trwoga, tak mi smutno, jak nigdy jeszcze w życiu nie było. — Śniło mi się, że leżałem w trumnie, a z mej piersi lała się krew obficie. Otworzyłem oczy i widziałem, że samotny leżałem w wielkim bardzo kościele; lampa zawieszona przed ołtarzem, rzucała posępne światło, na znajdujące się tamże grobowce i posągi. Byłem sobie zupełnie przytomnym, lubo ruszyć się niemożłem; gdy z śmiertelnéj rany płynęła strumieniem krew za każdym odetchnieniem. O! było to okropne położenie, przerażające uczucie! — A w tém słyszę stąpanie po kościele zbliżającego się ku mnie człowieka; a tym ty byłeś, wraz z jakimś nieznanym człowiekiem. Nieznajomy rzucił się na mnie i całował mię czule, ty zaś położyłeś twą rękę na moje pierś, poczem krew na raz się strzymała, i obudziłem się w objęciach twoich.“ —

„Uspokój się mój synu! — mówił tonem łagodnym pustelnik. Sen twój był tylko marą, igrzyskiem twój fantazyi, skutkiem może jakiej choroby, która krew twoją wzburzyła; nie myśl więc o tem, nie bój się ztąd żadnych okropnych skutków.“

„Wszak wiesz ojczy, że nie znam bojaźni, ani pod nią ulegam; już ja nie raz miewałem okropne sny, ale tak przerażającego jak ten, o którym mówię, nie miałem nigdy. Jakieś smutne przeczucie zdejmuję mię; może twój Rejnhold pójdzie do swej matki, a ty ojczy zostaniesz sam na tym świecie; — to jest właśnie, coby mi śmierć przykrą czyniło.“

Cicho płacząc spuścił swą głowę na piersi starca; ten zaś wzruszony tém nadzwyczajnym rozczuleniem wnuka, długo walczył z uczuciem, aż się zdobył na słowa pociechy. „Jakto? przemówił wreszcie, toż to ma być ów mężny i odważny Rejnhold, który spoczywa na mej piersi? Ten sam, co nie dawno tak gorliwie i słusznie odmawiał gwiazdom wpływu na losy ludzkie? Tenże to sam, co wie, że Wszechmocny, Najmędrszy i Najlepszy Ojciec rządzi ludźmi, czuwa nad tymi, co mu wiernie służą i nic istotnie

złego na nich niedopuszcza? — A oto teraz — sen, czczy obraz fantazyi rozzbraja całe męstwo jego, i obala te podstawy ufności w Boga! — Nie mój synu! nie hańb' się tą trwogą! — Spójrzj wokoło siebie, toć znikły sklepienia, groby, posągi, które cię tak trwożyły, a ty spoczywasz na łonie twojego ojca! — Czegoż się jeszcze lękasz mało-wierny; wszakci losy twoje złożone są w ręku Boga, a on jest panem twego powodzenia. Przeto uspokój się i nie pozwalaj, aby cię próżne trwożyło marzenie, które zaprawdę pierzchnie przed promieniami wschodzącego słońca.“

Wzburzona fantazyja Rejnholda podczas téj mowy starca uspokoiła się, wszakże nie zdołał jeszcze stać się panem smutnego uczucia, jakiego dotąd jeszcze nigdy nie doznał. Powstał z posłania i przeszedłszy parę razy po namiocie rzekł: „Nuż ojcie! nie jestemże ja już znowu dawniejszym śmiałkiem? — Mocą twych słów pierzchła trwoga! — Wszakże powiedzże mi, jakimżeto szczęśliwym przypadkiem znalazłeś się, kochany ojcie, właśnie w sam raz, gdy ciebie najwięcej potrzebowałem?“

„A wszak ci ja przyrzekłem, jak tylko będzie można najrychleń odwiedzić cię w obozie. Dziś wieczorem tu stanąłem. Wstąpiłem do księcia, gdzie zeszedł nam czas na rozmaitych rozmowach aż do chwili, kiedy mię do twego namiotu odprowadzić rozkazał. Jest teraz właśnie północ; nie byłbym cię przebudził, gdyby sen twój był tak spokojny, jak zwykle, ale że widziałem iż cierpisz, powinienem był przerwać twoje cierpienia, obudzić cię.“

„O jakże ci wdzięczny jestem, żeś przerwał moje okropne położenie! — A teraz kochany ojczy, zajmij moje posłanie; ja jako żołnierz, owinąwszy się w płaszcz, spocznę przy nogach twoich. Zdaje mi się, że teraz będę spał spokojnie.“

Z wdzięcznością położył się pustelnik na Rejnholda miejsce. Młodzieniec długo nie mógł zasnąć, jakieś smętne przeczucie niepokoiło go, aż w kilka godzin zasnął spokojnym pokrzepiającym snem.

Tuż po odejściu pustelnika do namiotu wawka, zapowiedział sługa księciu hrabiego Hildenhorsta, który właśnie co tylko przybył do obozu. Wallenstejn zażądał widzieć się

z nim natychmiast i przyjął ojca Rejnholda z szczególniejszą uprzejmością. „A witajże hrabio Hildenhorst, choć przyznać muszę, żeś się z przybyciem twojém opóźnił. — Jakże, czy chcesz, jak cię prosiłem, zostać przy mnie; czy przywozisz tylko od Jego Cesar-skiej Mości depesze?”

„I jedno i drugie: chcę pod bokiem Waszej Książęcej Mości walczyć; — a tu oto listy, które z własnych rąk Cesarza odebra-łem, wraz z pozdrowieniem dla wiernego Marszałka, jak się Jego Cesarska Mość wyrazić raczył.“

„To prawda, że na raz wiele przyjemno-ści; ale najprzyjemniejsza mi ze wszystkich, twoja hrabio osoba. — Przyjmiesz komendę mego pierwszego pułku jazdy. Są to ucz-ciwi, dzielni ludzie, mężni i bitni jak lwy, możesz sobie na ich czele sławę zjednać, jutro odbierzesz patent, i zaraz obejmiesz obowiązki. Jak mi się zdaje, da nam Szwed niebawem zatrudnienie. — Dzielnieś hrabio był we Wiedniu czynnym na moją rzecz, takiemu mężowi winienem dzięki. Pozwól, że aż do najbliższej bitwy zostanę twym dłużnikiem, a wtenczas chociażby jeszcze

nikt nie powiedział, że książę Frydlandu wynagradza przysługi po cesarsku, to ty niezawodnie będziesz pierwszym; na to daję ci w zastaw moje książęce słowo.“

„Książę jesteś wielce dla mnie łaskawym! — Mam z sobą towarzysza który pragnie także służyć pod chorągwią księcia, młodego Hardenberga. Wszakże książę pokazałeś mu dosyć przychylności; ufny w takową prosi o przyjęcie do służby, jeżeli to być może, pod mojem okiem.“

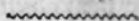
„A dla czegoż nie stanął osobiście? — Czy nie śmie pokazać się staremu przyjacielowi jego rodziny? Powiedz mu, że Frydlandczyk nie jest tak złym, jak go malują w rzymskim państwie.“

„Wasza Książęca Mość ubliżałbyś jego gorliwości, gdybyś przypuszczał powątpiewanie o jego uszanowaniu i uległości. Do osobistego przedstawienia się W.Ks. Mości było mu przeszkodą potknięcie się konia i małe stłuczenie, w skutek którego będzie musiał parę dni wypocząć. Zresztą nie spodziewam się żadnych nieprzyjemnych następstw.“

„Skoro wyzdrowieje, oddasz mu hrabio rotmistrzostwo w twoim pułku. Potrzebuję

ja zdatnych ludzi, Hardenberga znam jak godnego męża. — Wracaj w imię Boże do twego przyjaciela; przyrzeczenia mego dotrzymam!“

Zadowolniony łaskawością Księcia, wyszedł hrabia z namiotu.



## ROZDZIAŁ XVIII.

### P o t y c z k a.

Posiłki w ludziach z Bawaryi przyszły do obozu Frydlandskiego; ale i Gustaw Adolf nie małą miał siłę zbrojną: w Norynberdze stało pod jego rozkazami 70000, a w potrzebie mogło miasto stawić do boju 30000 milicyi złożonej z mieszczan. Zdawało się, że najbliższa potyczka rozstrzygnie los wojny. Z drżeniem oczekiwały Niemcy dnia tego. Spustoszone leżały kraje, przez które furye wojenne przeszły; bogactwa miast, posiadłości rolnika, były ze szczerem zniszczone. Tysiące nieszczęśliwych, wypędzonych z swych osad, błagały Najwyższego, ażeby ich raczył pocieszyć trwałym pokojem.

Prócz 120,000 Frydlandczyków, którzy

stali naprzeciw Norynberdze, liczył obóz cesarski 50,000 kobiet i tyleż woźnic i pachółków; Szwedzi mało co mniej liczyli. Nie dziw zatem, że ta massa ludu wysssała zasoby kraju, że głód i choroby, te nieodstępne towarzyszki życia obozowego wnet się znalazły. Wszystkie okoliczne młyny nie wystarczały z mlewem zboża, które dzień każdy pochłaniał; 50,000 funtów chleba, które miasto codziennie Szwedzkiemu obozowi dostarczało, zaledwo pokryły najkonieczniejsze potrzeby. Zaraźliwe choroby zmiatały dziennie przeszło sto ludzi; a tak nie jeden dzielny żołnierz, który wołałby był raczej na polu rycerskiej sławy ojczyźnie swej poświęcić życie w ofierze, tracił je w skutek głodu lub zarazy.

Przecież niczem niewzruszony stał Walenstejn w swoich okopach; nic go skłonić nie mogło do zaczepienia miasta i wyruszenia naprzeciw nieprzyjacielowi. „Już aż nadtośmy się bili, ludzi zanadto natraciliśmy, ~~czas~~ jest zmienić sposób wojowania. — Jeżeli moja gwiazda sprzyjać mi będzie, zniszczę Szwedów bez dobycia miecza. Głód i powietrze niech ich niszczą, i pomszczą się za nas.“

Potrzebą zagnany król szwedzki, wyszedł z obozu pięćdziesiąt piątego dnia od oblężenia, ustawivszy nad brzegami Rednicy trzy baterie naprzeciw obozowi Wallenstejna. Książę rozkazał odpowiadać mu z armat i muskietów, ale zresztą stać spokojnie w miejscu bezpiecznym. Rozgniewany Gustaw Adolf rozkazał rzecz przechodzącą wszelką możebność, rozkazał mówię, przypuścić atak na obóz; położeniem i sztuką niepodobny do wzięcia.

Powierzywszy swój obóz straży norynberskiej milicyi, pięćdziesiąt ósmego dnia od wkroczenia do miasta, wyszedł Szwed w porządku bojowym, przeszedłszy przez Rednicę przy Fürth przeciw Wallensteinowi. — Przednie stráže cesarskie nie mogły się oprzeć jego natarczywości; odparte ~~co~~ ~~nię~~ ~~się~~; a Szwed z zuchwałą odwagą uderzył na sam środek nieprzyjacielskiego okopu. Ze stu dział rzucał nań książę śmierć i zniszczenie. W kilka minut okryło się pole trupem i rannymi, za nim pierwsza kolumna ~~po~~ przebyła drogi. Byli to Niemcy, których Gustaw wysłał na pierwszy ogień; rozgniewany, że nieznaczne resztki wracają,

wyseła swoich Finlandczyków, w tej myśli, żeby doświadczony żołnierz zawstydził niemieckie tchórzostwo. Ale i tych przywitał książę równie jak pierwszych. Wyseła król coraz nowe pułki, ale na takie samo zniszczenie; a po dziesięciogodzinném usiłowaniu, nie liczy żadnego pułku, któregoby szeregi nie były znacznie przerzedzone. Tysiące szkaradnie pokaleczonych trupów zasłały już pobojuwisko, a przecież Gustaw usiłuje jeszcze zmusić szczęście, aby się na jego skłoniło stronę.

Przy krzewinie nad Rednicą stało lewe skrzydło szwedzkie; przeciw temu wysłał książę jazdę. Na przemian ważyło się zwycięstwo to na tę to na tamtą stronę. Działową kulą raniony padł pod księciem koń; z zimną krwią dosiadł innego i odważnie prowadził swoich naprzeciw nieprzyjacielowi, a żołnierz zagrzany przykładem wodza śmiało słał trupem to wszystko, co mu się opierać ważyło.

Pod okiem księcia walczył na czele swej rotty Rejnhold; jak gdyby burza postępował naprzód, wszystko przed sobą oziemię walcąc. Adjutant Wallenstejna zwrócił go, a

siąże rozkazał: „Tam oto kapitanie spiesz twym oddziałem, na pomoc trzeciemu pułkowi, który cierpi dużo od Szwedów.“ — bez namysłu obrócił się Rejnhold w wskazaną stronę, a za nim lotem błyskawicy jego odkomendni. Tu przeciw przemagającemu ile walczyli cesarscy, bo nieprzyjaciel zaapisał tu przemódz, a przeto tu znaczne siły gromadził. Już trudno było opierać się Frydlandczykom, — mordercze strzały nadebrały ich siły; lecz gdy nadeszła dzielna choć nie liczna pomoc, odżyli na nowo, i rzuciwszy się na nieprzyjaciela wyparli go ze stanowiska.

Hrabia Hildenhorst, który pułkiem swym w tém miejscu dowodził, gracko postępował za nieprzyjacielem, a zapale bojowym wysunął się za linię w towarzystwie tylko kilku jezdnych. Spostrzegłszy po świetnym hełmie dowódcę z garstką ludzi, rzucił się nań oddział Szwedów: od kul i pałaszów ich legło kilku wiernych swemu naczelnikowi, jeszcze parę minut, a i on sam byłby niezawodnie uległ przemocy. Ale Rejnhold spostrzegłszy jego niebezpieczeństwo, lotem wiatru stanął mu w pomocy z kilkoma towa-

rzyszami. Nagle natarty porzucił nieprz  
ciel pułkownika, a obrócił się przeciw r  
pastnikom, i rozpoczął szalony taniec. W  
lenstejn, którego bystremu oku nic uk  
się nie mogło, widział i tę rozprawę sw  
ucznia, a ciekawy jaki weźmie koniec, pod  
jechał bliżej, i dał baczość na każde jeg  
ruszenie. Okropnie zmiatała tu ludzi śmierć  
Szwedzi bili się z rozpaczą, bo widzieli swo  
koniec. Rejnhold dotąd nietknięty dzielnie  
płatał Szwedy pałaszem, widocznie jaka  
nadludzka siła osłaniała go; gdy w końcu  
oszczep rozszczepił hełm jego, a młodzie  
niec zachwiał się, i z trudnością utrzymał si  
na koniu. Nieprzyjacielski żołnierz korzy  
stając z okoliczności, o kilka tylko kroków  
strzelił z pistoletu, a kula przeszła pancer  
Rejnholda. „Święty Boże!“ wymówił mło  
dzieniec, zamilkł, i spadł na ziemię.

## ROZDZIAŁ XIX.

---

### Powrót do zdrowia.

W namiocie księcia siedział smutny hrabia Hildenhorst, nieszczęśliwy ojciec Rejnholda. Że przez męstwo nieznanego sobie syna, uratowany został z oczywistego niebezpieczeństwa, dopiero się dowiedział z ust Walenstejna, gdy obrońcę z pobojowiska odniesiono. Wszystkie zastarzałe rany ducha, odświeżyło to uwiadomienie. Natarczywie żądał być przy swym synie, aby z nim żyć lub umierać; gdy książę, przez wzgląd na zdrowie rannego, wzbraniał się pozwolić na to, padł smętny ojciec do nóg jego i błagał: „Powoł mi WKM. pielęgnować me dziecko; nikt mu tak nie zdoła usłużyć jak ojciec, który go z taką szukał troskliwością! — Nic

mię zaręczam nie wyda, w jakich z nim stoję stosunkach, unikać będę tego wszystkiego, coby go wzruszyć mogło, niech mam tylko to szczęście poznać go, cieszyć go! — Nie wzbraniaj Książę tej łaski strapionemu ojcu!“

Wallenstein usiłował pocieszyć hrabię; dopełniał w tém obowiązku, który jedynie osobliwsze przywiązanie do Rejnholda ułatwiało. Wtem wszedł ojciec Walenty do namiotu; ajego zjawienie się wywołało scenę, która zdolna była i serce ze stali wzruszyć. Chociaż to wiele upłynęło lat, jak się ci dwaj mężowie nie widzieli, przecież za pierwszym rzutem oka, poznali się nawzajem. W milczeniu stanęli naprzeciw siebie; głębokie wzruszenie odmalowało się na ich twarzach, i wnet rzucili się aby uścisnąć jeden drugiego; serca ich biły radośnie. Po chwili milczenia z płaczem rzekł Hildenhorst: „Ojcie Anjeliki, możeszże darować winowajcy? — Czy twoje usta zdołają przemówić łaskawie do skruszonego grzesznika, który przygnębiany ciężarem zmartwień swoich, długo szukał po świecie teścia swego i syna, aby z ust ich usłyszał pocieszające słowo: przebaczam! — O wymów ojcie! to błogie słowo,

i pomieść mię w sercu twojém, jak w ów szczęśliwy dzień, gdyś mnie wraz z córką twą błogosławił!“

„I jakżebym ja mógł jeszcze mieć jako-  
wąskolwiek urazę?“ odrzekł łagodnie pu-  
stelnik. „Czas zagoił wszelką ranę, została  
tylko w sercu miłość, która ci powierzyła to,  
co miałem na świecie najdroższego; ona nas  
tu sprowadziła, ona nas niech odtąd łączy.—  
Prośmy złączeni wspólnie Boga, ażeby nam  
przy życiu utrzymał syna, który stoi między  
życiem i śmiercią. Wrócił ci go Bóg w dra-  
żliwym dla ojca położeniu; mnie grozi wzięść  
tego, którego wychowałem, aby był pośre-  
dnikiem między nami. Ale nie traćmy na-  
dziei w tém smutném naszym położeniu, bo  
niezbadane są drogi Boże! Wszechmocna  
Jego ręka tyle razy dzielną się okazała, i tu  
pocieszyć nas może zechce, ocali syna zra-  
nionego w obronie ojca.

Takto pocieszał ufny w Boga mąż stra-  
pionego ojca, potakując księciu, że spotkanie  
się z synem w obecném położeniu mogłoby  
jego śmierć przysporzyć, że nie prędzej to  
nastąpić może, aż przejdzie niebezpieczeń-  
stwo. Wallenstein zaś przyrzekł osobiście

odwiedzić chorego, i od lekarza przynieść wiadomość o stanie choroby.

Dotkliwy kolący ból w piersiach obudził Rejnholda z omdlenia. Otworzywszy oczy widział, iż leży w namiocie swoim, i postrzegł nadwornego lekarza, który z politowaniem śledził ranę jego. Zakłopotany stał przy nim książę, z niecierpliwością oczekując wyroku lekarza. Rejnhold gdy spostrzegł księcia chciał coś mówić, ale gdy się przekonał, że próżne jest jego usiłowanie, wyrwała się żałość na bladym jego obliczu. Wzruszony Wallenstein schylił się ku niemu i rzekł: „Zachowaj się spokojnie mój wierny Rejnholdzie! — Cierpisz dużo, nie przysparzaj sobie cierpień przez wzruszenia.“ —

„Doktorze, jakże znajdujesz stan rany?“

„Dzięki Bogu! — odrzekł doktor wyjmując z rany sondę. — Kula nie naruszyła żadnej z celniejszych części; jesteście wprawdzie nadzieja zdrowia, ale i nie małe niebezpieczeństwo. — Pozwól kapitanie, że ci ranę należycie opatrzę; straciłeś nie mało krwi, to cię wielce osłabiło; — aleć odzyskamy zdrowie. Nadzieja w Bogu! Bądź spokojny!“

Chory dał z sobą wszystko robić, i pod ręką opatrującego lekarza wpadł znowu w omdlenie.

Gdy Książę przyniósł pocieszającą nowinę o stanie zdrowia dziadkowi i ojcu, padli na kolana, dzięki Bogu za tę pociechę składając.

Dziewięć dni trwogi, w których dzielna natura Rejnholda walczyła z febrą przyranną, minęło; w bolesnej niecierpliwości przeżyli je pustelnik i Hildenhorst, oczekując godziny, w której wolno im będzie, widzieć kochanka swego i z nim się rozmówić. Dziewiąty dopiero dzień był dla nich dniem radości; lekarz osądził że można odwiedzić chorego, wszakże z ostrożnością; pustelnik miał cierpiącego poprzednio przygotować do przyjęcia ojca, ile że nagłe jego zjawienie się, mogłoby szkodliwy wpływ wywrzeć na chorego.

Gdy ojciec Walenty stanął przed Rejnholdem rozlała się po twarzy jego wesołość. „Dzięki Bogu! — mówił słabym głosem, — że ty ojciec jesteś przy mnie. — Jużem ja nie spodziewał się widzieć ciebie w tém życiu.“

„A ja zaufałem Temu, który nasze przygody na naszą zawsze korzyść obraca“ —

odrzekł pustelnik, całując w czoło cierpiącego. — Wybrnąłeś z niebespieczeństwa, dzięki Najwyższemu! — a odtąd już nas nie nierozłączy, chyba aż dojdę zakreślonej mi mety życia tego ziemskiego. Twoje zdrowie wymaga długiego pielęgnowania, a przeto należy przenieść cię z tych okropności wojennych, w spokojne zacisze ojczyzny. — Tam kochany Rejnholdzie zbudujemy sobie trzy mieszkania, dla ciebie jedno, dla mnie drugie, a trzecie — dla twego ojca, którego wnet poznasz.“

„Ach drogi dziaduniu! powiedz gdzie jest! — Przywołaj go! — powiedz mu, że go z utęsknieniem oczekuję! — Ach, jakżebyto ślicznie mój sen ziścił się, który mi ukazał: iż obok ciebie i ojca, odżyłem życiem szczęścia.“

„Jest on bliżej ciebie, niż ty się spodziewasz: — podług twego tak często wynurzonego życzenia, walczyłeś pod jego okiem; owszem co nierównie więcej znaczy, życiem twojem odwróciłeś jego śmierć. Ojciec to twój był, Rejnholdzie, ten pułkownik, któregoś ty odwagą twą i męstwem wyrwał z rąk nieprzyjacielskich; on to krwią zlanego

azał cię przenieść z pobojoywiska. Potem dopiero dowiedział się z ust Księcia, komu jest winien swoje ocalenie.“

„A dla czegoż nie jest teraz przy mnie?“  
odrzekł Rejnhold boleśnie.

Drzwi się otworzyły i wszedł Wallentejn, prowadząc za rękę hrabię Hildenhorsta. Chory nie mógł być w wątpliwości, kogo książę prowadzi; jakby przemieniony wyścięgnął swe ręce do ojca, który z uniesieniem wołając: „Mój syn! mój Rejnhold“ ukląkł przy łożu, i ścisnął swe dziecko.

Nie leży to w mocy ludzkiej opisać należyście podobne sceny, w których tysiące szlachetnych uczuć podnoszą ducha nad to wszystko, co jest ziemskim. — Tedy to nikną wszystkie doświadczone boleści, a człowiek staje na najwyższym szczyśle doczesnego szczęścia!

Lekarz który wszedł dla odwiedzenia chorego w zwyczajnej porze, zastał tę piękną grupę: z jednej strony łożka stał pułstelnik, z drugiej Hildenhorst, ściskając ten wnuka, tamten syna, który jak gdyby zupełnie uleczony, tysiące pytań im zadawał.

Z założonemi rękoma patrzył się Wallenstein na szczęśliwych, nie bez tkliwego współczucia.

„Kapitanie! odezwał się lekarz radośnie, — zdaje mi się, że ta godzina więcej się przyłożyła do twego zdrowia, jak moje kilkodniowe lekarstwa. Rana właśnie już się zagoiła, a dzień zupełnego wyzdrowienia nie daleki.“

„Lubo mię to mocno cieszy, odrzekł Wallenstein — przecież z tego względu, iż mię opuścisz, nie mało nad tém ubolewam. Radbym cię widział jeszcze dłużej pod mojami znakami, ale przekonywam się, iż rzecz konieczna, rozłączyć się. — Jutro opuszczę obóz, ażeby za cofającym się nieprzyjacielem pospieszyć, lubo pozycyi tutejszej nie zaniedbam utrzymać; pod strażą obozu możesz spokojnie czekać całkowitego powrotu twego zdrowia.“

Z widoczném wzruszeniem przystąpił Wallenstein do tych trojga szczęśliwych, a podawszy każdemu z osobna pożegnawczą prawicę, mówił: „Ta oto właśnie godzina rozłącza nas. Odbierzcie z ust moich to za-

pewnienie, że mało tylko osób stanęło tak blisko mego serca, jak wy stanęliście. Gdy w zaciszu waszych siedzib wspomnicie o przeszłości — wspomnijcie zarazem i o mnie z przywiązaniem! — Mnie mój los pcha niezbędnie naprzód; czy będzie szczęśliwy, któż to odgadnąć zdoła? Dla was moi drodzy, książę Frydlandu będzie zawsze niezmiennym. Bądź zdrów Rejnholdzie! Jeżeli ci kiedyś na tym świecie będę mógł stać się pomocnym, wiedz, że w każdej chwili masz do mnie otwarty przystęp.“

To skończywszy szybko wyszedł z namiotu, kryjąc swe rozczulenie. Pozostali zaś długo jeszcze po jego odejściu powierzali sobie wzajemnie swoje uczucia. —

---

Z gruzów spustoszonego Worozdyna, powstał wnet wspaniały zamek; na jego poświęcenie zgromadzili się jednego wieczora mieszkańcy trzech wsi należących do hrabiego Czechina. Brama zamkowa, pięknie w kwiaty przybrana, otwierała widok do ozdobnej kaplicy. W niej brzmiał organ to-

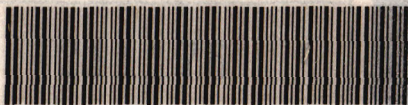
warzysząc pobożnej pieśni, a przed ołtarzem stał jak gdyby figura świętego, radością jaśniejący brat Walenty, przy nim klęczał hr. Hildenhorst z synem swym Rejnholdem. Gdy śpiew zamilkł, wzniósł pustelnik ręce swe ku niebu i tak się modlił: „Dzięki Ci składamy wszechmocny Ojczy niebieski! który łaskawie drogą zasłaną rozlicznemi niebezpieczeństwami, połączyć nas raczyłeś społem. Jest to Twojej wszechmocnej ręki dzieło, którą z uniesieniem wdzięcznych dzieci całujemy, i jej błogim rządóm poddajemy się. — Jak powstał z gruzów ten zamek, — niech tak Panie z nieszczęść i dolegliwości, których doświadczyliśmy, powstanie szczęśliwość. Duchu mej córki, któryś przed Tronem Najwyższego za nas tułaczów niemylnie błagał łaskawej Opatrzności, spojrzij na nas i błogosław nam!”

Przez okna kościołka przedarły się promienie żegnającego się słońca, położyły społem klęczących; — pienia dziękczynne zakończyły ten obchód; poczem trzech szczęśliwych bo pocziwych ludzi wyszło z kaplicy, — aby poddanych swoich uczynić uczestnikami radości.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000439818



I 211176

Pracownia Śląska